

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 14 STYCZNIA 1928 ROKU

NR 3

TREŚĆ NUMERU: Marnowanie skarbów społecznych — *Dr. Marja Kuźmińska*. Wygra czy zdobędzie? — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Wiersze: „Mróz” — *Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*. „Grudniowy wiersz” — *Andrzej Wolica*. Dziewczyna z zimorodkiem (dok.) — *Ewa Szelburg*. Jemioła (dok.) — *Hanna Skarbek*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobieta w epoce odrodzenia — *Paula Lamowa*. Amerykańska szkoła dla dziewcząt — *Wanda Peszkowa*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i N. J.* Psychologia mody — *Dr. Stefania Zahorska*. Cośnecoś o narciarstwie — *L. R.* O malowaniu farbami do prania i o liworyzacji — *Antoni Buszek*. Gastronomja po przez wieki — *S. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. U S. Magnqué — *Well*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Kultura Ciała”. Dodatek powieściowy: „Młyny Postoła” — *Jordan Jowkow* — autoryzowany przekład z bułgarskiego — *Jad. Gr.* Tablica krojów.

MARNOWANIE SKARBÓW SPOŁECZNYCH

Największym skarbem społecznym jest twórczy człowiek. Tej głęboko mądrej prawdy nauczyły nas dzieje porozbiorowe, gdy brak bytu państwowego nie zdołał zatamować bogatego życia duchowego w narodzie.

Twórcze jednostki były tem bijącym źródłem, które zasilało intelekt i uczucie społeczeństwa i prowadziło je ku rozwojowi ducha narodowego z taką niezłomną pewnością, że gdy nadeszła chwila odzyskania wolnej Ojczyzny, byliśmy tak pełni wewnętrznej mocy, jakby lata niewoli były „jedną chwilką.”

Kto pragnie dalszego rozwoju społeczeństwa, musi patrzeć na twórcze jednostki, jako na budowniczych kultury narodowej.

A przecież ci, co to rozumieją, z głębokiem zdziwieniem obserwują codzienne zjawisko: brak zainteresowania w społeczeństwie dla twórczej jednostki. Trzy stadja możemy wyróżnić w stosunku społeczeństwa do swoich twórców, niezależnie od pola, na którym pracują. Pierwsze — gdy w latach młodzięcych przejawia się talent, towarzyszy mu obojętność, niedowierzanie, pozostawianie własnym siłom: albo zmarnieje, albo zwalczy wszystko sam. Wówczas przynajmniej ciekawsza będzie dla przyszłych pokoleń jego biografia. Drugie stadjum następuje wtedy, gdy dojrzały artysta, dzięki potężnej woli i talentowi, zdołał zwalczyć rzucone mu pod no-

gi przeszkody i, nie zatraciwszy Sztuki — dla chleba, zyskał mniejszą, lub większą sławę u współczesnych, co, zresztą, nie jest zależne od wielkości talentu, bo długi współczesnych płacą potomni.

Trzecie stadjum — to znowu obojętność dla tych, którzy w pełni swych sił tworzyli kulturę narodową, a po ich wyczerpaniu brutalnie zostają usuwani ze świątyni, którą sami budowali: przedwczesne, uroczyste grzebanie tych, którzy, otoczeni pieczołowitą opieką społeczną, mogliby jeszcze pracować długo i owocnie. Ten stan rzeczy doskonale maluje zdanie, tak często obijające się o uszy: „Ach, to on jeszcze żyje?! Myśleliśmy, że już dawno umarł!”

I oto wokoło twórczych jednostek — największego bogactwa społecznego — tworzy się pustka, groźna dla przyszłego życia kulturalnego Polski.

Jest to mniej lub więcej świadome obniżanie wartości bogactw kulturalnych.

W danej chwili interesuje mnie najbardziej stosunek społeczeństwa do budzącego się talentu, do tych pierwszych młodzieńczych porywów, gdy zdaje się, że sił im starczy na zwalczenie wszelkich przeszkód, i gdy wydaje się niemożliwem, aby entuzjazm pracy twórczej nie przełamał obojętności tych, którzy, w głębokiem zrozumieniu wartości takich jednostek dla narodu, winni pośpieszyć z zainteresowaniem i zachętą.

Im silniejsza wiara, tem boleśniejsze rozczarowanie. Komu drogi jest rozwój kulturalny Polski, ten ze wzruszeniem stwierdza, jak wiele wśród nas znajduje się wybitnie uzdolnionych jednostek, które wskutek braku zrozumienia przez środowisko, w którym żyją, i wypływającej z tego obojętności—muszą zmarnieć w nierównej walce! I nikt się tem nie interesuje, że społeczeństwo ponosi stratę, gdy nie wyzyska się uzdolnień, bujnie wyrosłych w bogato udarowanym narodzie polskim!

Dziwna pustka tworzy się często wokół talentów, jakby świat chciał wystawiać na próbę tych, którzy, o ile im sił starczy, wzbogacą skarbnicę kultury narodowej.

Ale czy im sił starczy?

Ileż trudności piętrzy się na ich drodze! Niezrozumienie, wypływające z ciemnoty, zaciśnie wokół nich krąg, poza który wyjść nie będą mogli. Warunki bytu zaprzęgą ich do pracy, w której każda przeciętna jednostka mogłaby ich zastąpić. Powstrzyma często źle zrozumiana miłość rodzicielska, która obawia się dla dziecka cierniowej drogi artysty lub uczonego. Ileż razy słyszy się z ust człowieka ze środowiska inteligentnego:—Pragnę, aby mój syn wyrósł na przeciętnego człowieka; nie będę rozwijał w nim zdolności, które przejawia; będę się starał osłabiać w nim jego zamiłowania. —Przeważa wszędzie praktyczny pogląd na życie.

Szkolnictwo nasze również niezupełnie rozumie, jaka odpowiedzialność spada na nie wobec tego stanowiska rodziców. Często jednostki, wybitnie uzdolnione w pewnym kierunku, nie mogą nagiąć się do przeciętności, a przeciętność jest wymagana! Istnieją szkoły, w których pozostanie w klasie na rok następny równa się usunięciu ucznia ze szkoły; dwa stopnie niedostateczne nie promują.

Uczniowie, którzy nie wykazują wybitnych zdolności, którzy z trudem zarabiają na oceny dostateczne, są przynajmniej pewni, że nie grozi im wykołajenie, inni—padają ofiarą swoich wybitnych jednostronnych uzdolnień: zwyciężają ich przeciętni.

O ile w mieście łatwiej jest młodzieży iść po drodze powołania,—stokroć zawilej przedstawia się ta kwestja na wsi.

Ciężkie zadanie stanęło dzisiaj przed nauczycielstwem szkół powszechnych: kilkaset dzieci, oddanych pod opiekę paru nauczycieli; codzienna ciężka praca; brak odpowiednich mieszkań, brak pokarmu umysłowego w postaci książek, czasopism naukowych; nieufność ludu, którą przez lata całe trzeba przełamywać dobrą wolą; skrytość i bojaźliwość dzieci wiejskich—odbiera chęć wnikania w indywidualność młodzieży.

Ale najbardziej osłabia zapał nauczyciela w wyszukiwaniu twórczych zdolności wśród młodzieży świadomość własnej bezsiły i bezradności. Gdy się chce przyjść z pomocą wybitnej jednostce, napotyka się zdecydowany opór rodziny, która oznajmia nauczycielowi, że „na dalszą naukę grosza łożyć nie będzie“!

Do kogo ma się zwrócić kierownik młodzieży, gdy jego niewielka pensja wystarcza mu zaledwie na jego utrzymanie? Gdzie jest ta instytucja społeczna, do której możnaby się było zwrócić? Niema... — Czy ochranianie skarbów społecznych jest dla narodu polskiego zagadnieniem nieaktualnem? dla nas, którzy po latach niewoli podejmujemy pracę, która musi postawić nas w rzędzie najbardziej twórczych narodów?

Tylko inicjatywa społeczna może temu złu zaradzić. Stwórzmy organizację, której zadaniem byłaby opieka, niesienie pomocy tym, którzy, nie mając warunków dla rozwinięcia swego talentu, grzebią bogate zasoby duchowe, z krzywdą dla siebie i dla ogółu.

Niech więc kulturalne jednostki w miastach prowincjonalnych zjednoczą się dla tego celu, otoczą opieką sieć szkół powszechnych w danym okręgu i powołają do współpracy nauczycieli!

A wtedy do was, pracownicy narodowi, do was nauczyciele szkół powszechnych, którzy projekt stworzenia takiej instytucji społecznej przyjmiecie z radością,—zwrócimy się, abyście zechcieli otoczyć szczególną troskliwością twórcze jednostki wśród młodzieży!

Ktoś powiedział, że teżyżnę duchową Niemiec stworzył nauczyciel szkoły powszechnej i publicysta.

Słusznie: — publicysta daje inicjatywę pracy nad materiałem ludzkim i wskazuje drogi jego rozwoju—nauczyciel styka się z tym materiałem, wciela w czyn rzucone ziarno myśli, które nie zakiełkuje i nie wyda plonu bez jego współdziałania.

Dr. Marja Kuźmińska.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

WYGRA CZY ZDOBEDZIE?

Garść refleksyj z powodu powieści Wandy Melcer-Rutkowskiej: — „Narzeczona z Angory”, Warszawa, 1928.

Nakładem Tow. Wydawniczego „Rój”.

Kilka lat temu Paweł Morand zrobił wyłom w zmuszonym murze pleśniejących szablonów literackich, wprowadzając do dawno nieprzewietrzanej galerji oklepanych typów kobiecych fizycznie piękną i hieratyczną, jak mozaiki z Ravenny, a duchowo przejrzystą i geometryczną, jak kryształ, — kobietę-bankiera, greczynkę Irenę w powieści „Levis i Irena”.

Ten nowoczesny nawskroś ideał kobiety-człowieka, tak bardzo prosty i nieskomplikowany, że aż trudno czytelnikowi uwierzyć w jego możliwość, znalazł świeże literackie urzeczywistnienie na kartach „Narzeczonej z Angory”. Helena jest właśnie tą kobietą czynu i interesu, tą „businesswoman”, dla której najwyższą rozkoszą i celem samym w sobie jest niezawodna sprawność własnego mechanizmu mózgowego.

Nieszczęśliwa miłość i zawód życiowy lat osiemnastu nie złamały silnej indywidualności, ale po krótkiej chwili zamroczenia smutkiem i bezradnem rozżaleniem uodporniły ją nazawsze wobec męskich zakusów na jej cnotę, zakusów, które tak często młoda, niedoświadczona kobieta bierze za miłość.

Helena — piękna, zdrowa, strojna, czasem według wymagań ostatniej mody półobnażona, najczęściej samotna i chłodna, jak posąg wśród rozpalonych do białości azjatów, — wywiera na swe otoczenie czar, jaki posiadają zaklinacze węzów i poskromicielki dzikich zwierząt.

Czar to nie wyłącznie zmysłowy. Pożądana i budząca pożądanie Helena sama nie ulega otaczającej ją atmosferze, nie dlatego, żeby była specjalnie opancerzona niewinnością, przytępieniem zmysłów, lub opanowaniem, nie! — ale ostrze jej uwagi i pragnień wymierzone jest w inny zgoła kierunek. Ze słabości mężczyzn i ze ślepego ich dla siebie uwielbienia umie wyciągnąć pomyślnie konsekwencje, ale ich nie wyzyskuje w pospolity, materialny, zanachronizowany sposób kobiet starej daty, finansowo niezależnych.

Helena, jak czujny strategik, przed walną bitwą oblicza skrupulatnie siły swoje i przeciwnika, a że jednocześnie przychodzi w sukurs jej matematyce i niezawodny instynkt kobiecy, więc piękna samotnica bije na każdym polu zarówno swych współzawodników, jak i wielbicieli.

Góruje bowiem nad nimi nietylko intelektem, ale i wszystkimi awantazami swej płci, góruje póty, póki jej samej nie zwycięży miłość.

Miłość tem silniejsza i bardziej wybuchowa, że poprzedzona długimi latami uczuciowej posuchy. Ta miłość była w życiu Heleny prosto koniecznością historyczną.

Rzecz ciekawa: przyjmuje ona tę konieczność po swojemu, nie tracąc ani na chwilę właściwej sobie zimnej krwi i zdolności opanowywania sytuacji. I tu właśnie, z matematyczną ścisłością swego niezawodzącego mózgu dopomagając wypadkom, sama sprowadza klęskę na swoją głowę. Chcąc usunąć z towarzystwa niepożądanego wielbiciela, rzuca go w objęcia kobiety lekkiej, czem powoduje katastrofę, brzemienneą w nieoczekiwane następstwa dla wszystkich aktorów tej angorskiej tragifarsy.

Ten splot dziwnych wypadków, omotujących fatalną siecią „przerwaną pieśń” Heleny i Serafina, jest rzeczywiście zbyt powikłany i dowolny, aby nawet taki wytrawny gracz (coprawda, tylko w sprawach handlowych), jak Helena, mógł go przewidzieć. Nie przewiduje go i czytelnik i trudno mu zrozumieć, dlaczego ohydna przygoda warszawskiej kurtyzany z trzema pijanemi turkami sprowadza, jako nieuniknione następstwo, awans tejże damy, nied z wuznacznego zgoła stanowiska przy boku „starszego pana” Koneckiego — na zgoła wyraźne dostojęństwo prawej i dozgonnej małżonki zaślepionego w niej po uszy „dziada”.

Jakkolwiek skłonni jesteśmy przypuszczać, że niezbadane są tajniki logiki męskiej, skoro w grę wchodzi zmysły, to jednak takie zestawienie następujących po sobie faktów odznacza się pragmatyzmem conajmniej jaskrawym. Przed kilku miesiącami w komedji Kiedrzyńskiego „Nie trzeba się niczemu dziwić” Junosza-Stępowski z przedziwną intuicją odtwarzał tragizm starca, który czepia się kwitnącej młodości odruchem instynktu samozachowawczego, czując, że zginie, gdy ta ostatnia kładka, łącząca go ze światem użycia, usunie mu się z pod nóg. Niedawno wznowiono w Teatrze Polskim starą komedję de Flersa i Croisseta „Nowi Panowie”, gdzie stary arystokrata, chcąc za wszelką cenę utrzymać przy sobie młodą i rwącą się do życia aktoreczkę, kupuje sobie jej wierność małżeństwem.

Ale i w jednym i w drugim wypadku istnieje psychiczne załamanie się mężczyzny, który jednak z gry wychodzi po dżentelmeńsku; raz zgrany do nitki, za drugim razem zgarniający niedbałym gestem „rozbitą bank”. Ale nigdzie nie rzucono nam w oczy nagiego faktu brutalnej zmysłowości, jak to uczyniła autorka „Narzeczonej z Angory”. Przyznajmy zresztą, że wybór takiego, a nie innego rozwiązania ułatwił znakomicie autorce przeprowadzenie pewnej tezy „feministycznej”, o ile wogóle leżało to w jej zamiarach, o ile wogóle ta teza kiedykolwiek skrytykowała się w jej twórczym intelekcie. Wnioski moje, przyznaję, mogą być wysnute z zupełnie przypadkowego biegu zdarzeń powieści, i autorce może się nawet nie śniło, że można je oglądać z wysokości ich własnych konsekwencji i w takim, a nie innym oświetleniu ich wartości wewnętrznych.

Nie mniej jednak rozsunęła ona przed nami z sumiennością i prostotą dwa wątki istnień kobiecych: Heleny i Gabrijeli, jakby dwie linje relsów, przebiegających nieskończenie odległe i obce tereny. Natury tych dwóch kobiet są w samym swem założeniu biegunowo odmienne: Gabrijela jest urodzoną kurtyzanką i, bez względu na swą pozycję towarzyską, będzie zawsze tylko społecznym wrzodem, narosła, pasoryzująca na męskiej zmysłowości, Helena jest człowiekiem czynu; jako kobieta, może być lojalną i samodzielną towarzyszką mężczyzny, może się stać ofiarą miłości, ale niewolnicą, ani królową zmysłów nigdy nie będzie. Jest na to i za uczciwa, i zbyt wiele ma poczucia godności osobistej.

Rzecz ciekawa: i Helena i Gabrijela w zaraniu młodości padły ofiarą uwodzicieli; tylko że dla jednej z nich t. zw. upadek stał się progiem samodzielnego trudu, dla drugiej—odskocznią do coraz umiejętniejszego finansowania powabów cielesnych. Raz jeden przecięły się ze sobą, nieco sztucznie na wspólny tor zwekslowane, szyny tych dwóch dróg, dążących nieomylnie, każda w swoje przeznaczenie. I jakby zgalwanizowane zetknięciem dwóch przeciwnych elektryczności, odepchnęły się w przestwór siłą sprzecznych żywiołów.

Gabrijela, jak kot, spadła z dachu na cztery łapy i tam, gdzie inna ugrzęzłaby w błocie, ona wydzwignęła się z trzęsawiska na bity gościńiec jaśniepaństwa.

Helena, której serce raptownie obudzono do miłości, gotowa rzucić się w nią głową nadół, jak nurk w morze,—przechodzi obok swego szczęścia, jak zwykle przechodzą obok niego kobiety uczciwe, które nie lubią deptać po cudzych głowach, ani zniżać się do pokątnego romansu z człowiekiem żonatym, w imię osobistego uczucia.

Na olbrzymiej giełdzie świata, gdzie potworne koło ślepej fortuny jednych miażdży, drugich wynosi na szczyty,—wielki los wygrywa kurtyzana. Kobieta-człowiek, kobieta uczciwa, która się nie sprzedaje nawet za cenę małżeństwa, może liczyć tylko na siebie. Jeżeli gra w miłość,—gra w otwarte karty i, naturalnie, przegrywa stawkę szczęścia osobistego, nawet, gdy jest tak piękna, jak Helena. Zato wielką nagrodą jej cnoty i wrodzonych zalet jest możliwość samodzielnej walki o byt. W niej szuka upojenia, zagłuszając w sobie haszyszem wytężonej pracy głos natury, szmery krwi i pomruk zmuszonej do milczenia kobiecości.

Pomiędzy te dwie, wyraźnymi płaszczyznami ograniczone bryły indywidualności kobiecych, rzuciła autorka cień trzeciej kobiety: Lucynki, żony Serafina, „osoby ładnej i zimnej, gardzącej cielesnem nasyceciem, rodzącej bezustannie i bez wyraźnego powodu, jakby to było celem życia”. O tej kobiecie, ofierze obowiązków małżeńskich, autorka niewiele ma do powiedzenia. Może dlatego, że słaba na ciele i umyśle, uosobienie anemji fizycznej i duchowej,—Lucynka jest typową kulą u nogi mężczyzny, który zostaje przy niej tylko przez litość, bo „sama nie dałaby sobie rady na świecie”. Jest to ginący typ kobiet, o których można powiedzieć, że „słabość—ich siłą”, i to siłą jedyną i ostateczną.

Nieubłagane warunki nowoczesnego życia dokonują ostrej selekcji w rzadniejących szeregach tych niedobitków. Dzisiaj kobieta, która chce być matką, musi nie tylko rodzić, ale wychować swe dzieci, a kto wie, czy to drugie nie jest trudniejsze. Ale to zagadnienie nie wplątało się ani w orbitę losów Heleny, ani, tembardziej, Gabrijeli...

Stoi ono sobie samotnie, czekając na pióra kobiece, które tak rzadko obecnie dotykają problematu rodziny.



LUCYNA KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

MRÓZ

Gdy do pokoju ukradkiem blady mrok się przesącza,
Gdy w nieba modrej szkatule opale gwiazd się skrzą,
Mróz fiolety i srebro misternie na szyby strąca,
Rzeźbiąc dziwaczną balladą zwyczajne na szybach szkło.

Po chwili las choin wykwita, płonący drzew tysiącami,
W wąwozach sezamy bajeczne otwiera dłoń przezroczysta.
Na mile się rozpościera spokojny śniegu aksamit,
Na horyzontach z kryształu najbielszych myśli jest przystań.

Mróz chuchnął. I znowu na szybach wyrosły świerkowe gąszcze.
Iskrzą się płatki ruchliwe, zimy puszyste motyle.
Chcę pisać najprostsze bajki w małej zielonej książce,
By stać się bielszą od śniegu, chociaż na chwile.

ANDRZEJ WOLICA

GRUDNIOWY WIERSZ

Myśli są białe śniegiem i słońcem pozłoczone.
Karminowane wargi pieści zimowy wiew.
Najcichszy dzień grudniowy wyciąga swe ramiona,
Strząsając myśli-płatki na brudny, ziemski brzeg.

Na brudne plamy błota sypią się miękkie płaty,
Chłodzi gorączkę ziemi szpitalna siostra z chmur.
Kryje bolesną ziemię szarą powłoką patyn,
Czerniących się pastelem błotnych, jesiennych pól.

Grudzień, pijany powietrzem północnych wiei lodowych,
Zachłusnął się łykiem szczęścia — zimnym szampanem tundur,
Posrebrzył podmuchem wiatru pokornie schylone głowy,
Ostudził w płonących oczach rozpacz, miłość i bunt.

.....

W dzień taki najcichszy, żywicznym lasem pachnący,
Nasiąkły wonią dalekich, mrozem zakutych wód,
Wykąpię się nagi w promiennym, błyszczącym słońcu,
W śniegowych płatków mozaice wyśpiewam grudniowy cud.



EWA SZELBURG

DZIEWCZYNA Z ZIMORODKIEM

Fragment z powieści, która pod powyższym tytułem wkrótce ukaże się w wydaniu książkowym.

Wiatr, przycupnięty w zawianej kotlinie, ocknął się nagle i czmychnął z pod płóz. Dał susa w bok, stanął słupka i nagle, nabrawszy odwagi, dmuchnął z całej siły w sanie. Zatoczyły koliskiem i z kopyta zwróciły ku niemu. Wiatr przeląkł się, beknął żalśnie i pognął w pole, aż się za nim zakurzyło. Wtedy sanki spełzły spokojnie po małej pochyłości nad spore jezioro.

Jezioro to leżało w zamkniętej kotlinie i było pilnowane przez stary młyn, obrosły lodem. Woda jeziora, środkiem zielona i zimna, po brzegach ścięła się w martwe szeleszczące krupy. Czasem wypłynął aż na środek wielki gruzel perłowy, kołysał się chwilę na zielonej wstędze wody, ale wnet rozpadał się na poszczególne sypkie ziarenka i dołączał się podwodnie do perłowej kaszy, szeleszczącej u brzegu.

Wiatr, naprzekór saniom, zawrócił z pola i, zacierając za sobą ślady śnieżną kitą, obiegił staw od tej drugiej strony. Tu przywarował w kotlinie z rokiciny i, cichcem wysunawszy łapę, jął przebierać mokremi palcami w szeleszczących, matowych krupach lodowatych pereł. Coś tam do niego zagadał młyn, kucnięty na brzegu. Co? — niewiadomo. Może podjął dalszy ciąg pytlowej bajki, a może były to poprostu codzienne, razowe słowa młyńskie...

Wiatr śmiał się i nie słuchał. A młyn gadał i gadał. Gadał na prawo, gadał na lewo, gadał wprost przed siebie i wciąż bił o wodę silnemi pletwami koła. To mu, widać, dodawało rozmachu i wytrwania. Nie przerwał nawet wtedy, gdy go mijały sanie. Zresztą przesunęły się obok starucha, ogłuszonego własnem gadaniem, tak cicho, jak duży płat śniegu. I, jak lekki płat śniegu poniosły się dalej brzegem.

Nagle coś niebieskiego przeleciało na wskos nad jeziorem,

— Co to? — krzyknął Adaś.

Pan Benedykt namyslał się dobrą chwilę:

— Pewnie zimorodek... zresztą nie widziałem...

Konie szły teraz pod górę, ślizgając się raz po raz.

Adaś wysiadł z sani. Przez chwilę chwiał się w dwie strony, aż zawrócił, i prędkim krokiem jął iść zpowrotem ku jezioru. Zostawiał za sobą na śniegu lekkie, podłużne ślady. Patrzył ciekawie po jeziorze: brzegiem czerwieniły się nagie rokiciny, a środkiem zieleniła się wolna woda: nie było między niemi nic, co byłoby niebieskie.

Idąc tak prosto przed siebie, mijał już młyn, obrosły lodem, gdy nagle ozwał się za nim głos dzwiczny, a kruchy, jakby ze szkła wydmuchnięty. Chłopak

obejrzał się ciekawie: to z młyńskiego okapu spadł długi, zielony sopel i rozszczepił się na ziemi w tęczywe drzazgi. Chłopak stanął i patrzył: pod okapem młyna, ocierając się lewem ramieniem o rząd sopli, w których lodowem wnętrzu słońce ożeniło się z mrozem, szła dziewczyna.

Sople grały iskrzystym blaskiem i szklaną nutą, a dziewczyna wtórowała im srebrzystym skrzypem śniegu głaskanego drobnemi stopami,

Chłopiec patrzył i nie ruszał się z miejsca.

Dziewczyna minęła orszak sopli lodowych i przystanąła u koła, bijącego w wodę pianistemi pletwami. Miała spełzłą błękitną chuścinę, zsuniętą z ciemnej głowy aż do połowy pleców, prostych i drobnych. Prawą rękę podniosła do czoła i starannie poprawiła gładkie, ciemne pasmo włosów, co jaskółczemi skrzydłami obramiały wąziutko twarz jej, stężoną od zimna. Podłużne, ku bladym skroniom, cofnięte oczy patrzyły spokojnie w kare oczy chłopca. I dopiero, gdy podszedł ku niej, ciepła fala krwi zakolysała jej małe, lekko uwypuklone wargi; zadrgały wzruszone na spokojnych, zimnych i ostrych zębach.

Stwierdziła spokojnie:

— Przyszedłeś.

Nie wiedział, co powiedzieć, i powiedział:

— Nazywam się Adam.

— To wszystko jedno — uśmiechnęła się dziewczyna. Tęczówki miała wąziutkie, ni to zielone ni to modre, źrenice duże i czarno-złote.

Adaś uśmiechnął się także.

Pod jej modrą chustą, z lewej strony, poruszało się coś wyraźnie i prędko.

— Czy to twoje serce? — zapytał.

— Nie — szepnęła — to zimorodek. — I odsłoniła niebieskiego ptaka, przytulonego do jej małych, dziecinnych jeszcze piersi.

Adam dotknął nieśmiało niebieskawych piórek.

— Muszę iść — westchnął, kurcząc palce.

Nie wiedział, co teraz zrobić i nie cofał wyciągniętej ręki.

Wtedy dziewczyna powiedziała prędko:

— Weź! — i podała mu niebieskiego zimorodka — Daruję ci go.

— Poco? — spytał zdziwiony chłopiec. Naturalnie nie zdążył go ująć.

Patrzyła szeroko otwartemi oczami nie na ptaka, który uleciał z otwartej dłoni, ale na chłopca, który stał przed nią. Twarz jej zmierzchła, usta pobladły. Z lodowych sopli spadały z szelestem mętne kro-

ple wody. Dziewczyna spuściła głowę na nieśmiało, dziecinne jeszcze piersi i zawróciła do młyna.

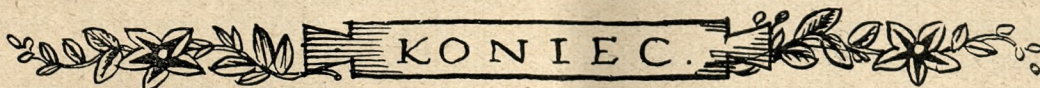
Chłopiec został. Chciał zawołać na nią, ale nie zawołał. Ma ciągle jeszcze w oczach zimorodka, który uleciał z pomiędzy ich rąk. Jak skrawek nieba zaniebieszczył się pomiędzy złodowaciami szprychami młyńskiego koła, zaniebieszczył się w perłowych krupach jeziora, zaniebieszczył się jeszcze nad wmarzniętymi w tamten brzeg trzciniami, i przepadł, i zginął. Na górze czekają sanie. Furman drapie się biczykiem to w jedno, to w drugie ucho. Pan Benedykt

bardzo się niecierpliwi. Przyzywa głosem i ręką. Ruszyli wreszcie. Adam ogląda się raz po raz. Nad samymi saniami niebo przetarło się trochę i jakby niebieszczeje.

— Już widać drogę topolową — wskazuje batem furman.

— Tak... tak... — mruczy pan Benedykt — koniecznie, uważasz, trzeba mieć coś swojego.

Adam przymyka oczy. Pomiedzy skostniałymi rżesami polatuje mu niebieski zimorodek... dar—daro—wany, a nieotrzymany.



HANNA SKARBEK

3

J E M I O Ł A

Brytyjska idylla święteczna — Hythe, Kent, Anglja

III

I ledwo wyrzała ze swego pokoju, gdy na głowę jej spadło nagle i zaplątało się we włosach jakieś stunogie, kłujące straszdyło.

To była owa pogodna jemiola.

Halina odrzuciła ją precz daleko. Sunąc korytarzem, rozglądała się, strwożona. Po suficie, po gzemsach, po lampach—pełzały i chwiały się podobne gałązki, niczem gigantyczne skorpiony, gotowe każdej chwili wpić się we włosy. Wyglądały zupełnie, jak żywe twory, i patrzyły, patrzyły ze wszystkich stron swemi białymi, wylupionemi oczkami...

Halina uciekała coraz prędzej, wdół, do bawialni!

W pokoju tym ostro pachniało jałowcem, storczykami i mandarynkami. Właśnie Harry i Gladys rozpakowywali ostatnią paczkę i rzucali w siebie złocistemi piłkami. Psy starały się przeszkodzić tej zabawie i skakały, jak poszalałe.

Cudzoziemka wnet się dowiedziała, że wszyscy tu byli przed chwilą, i nikt nie chciał czekać dnia jutrzejszego: wszyscy złożyli sobie pocałunki braterskie... i Ruth, i Maud, i Dawid, mąż Rutki, a Harry pokolei ze wszystkimi. — Zostałaś więc tylko ty! — zakończyła Gladys.

— Yes! — potwierdził afrykanin, i największa złocista kulka spadła zgrabnie na kolana Haliny. Zaczerwieniła się gwałtownie. Całe szczęście, że właśnie mocno zakolała do drzwi wieczorny listonosz, uwaga wszystkich skierowała się w tamtą stronę.

I w tej chwili, gdy Halina odpędzała precz od siebie natrętną zmorę snu — Kit wyrzucał na środek dywanu zawartość torby.

Najwięcej kopert zaadresowanych było do cudzoziemki.

Podłużne, kwadratowe, różnokolorowe.

W tej samej sekundzie, kiedy ujęła je w obie dłonie, uspokoiła się nagle i jakby oprzytomniała.

Teraz dopiero pojęła, jak były jej potrzebne i jak na nie wyczekiwała podświadomie.

Obracała je ostrożnie w palcach, aby, broń Boże! nie złamać — czegoś — co było takie kruche i delikatne, a co zawierać musiała każda kochana koperta! Uśmiechała się, wzruszona.

— Kit! jak się mówi — opłatek — po angielsku? — zagadnęła.

I ledwo zaczęła je wymawiać, gdy Harold wybuchnął natychmiast swoim druzgoczącym śmiechem.

— Dobrze! — wykrzyknęła tym razem, — niech teraz pan powtórzy to słowo po polsku! — Lecz afrykanin przestał się śmiać; wpatrując się w polkę z wyjątkową uwagą, wycedził niedbale:

— Co?... ja mam łamać sobie język?! a pocóż to mi potrzebne?

Halina zbladła. Kąciki ust drgnęły drapieźnie. Opanowała się natychmiast, lecz Harold wpadł w ferwor:

— Z każdym polakiem jest zaraz, jak w tej wspaniałej anegdocie o hipopotamie... Co? nie znacie jej?! jak to każdy z narodów musiał coś powiedzieć o tem zwierzęciu, a polak... cha! cha! cha! po-

lak napisał calusienką rozprawę na temat: „wpływ hipopotama na odzyskanie niepodległości Polski“, „Słoń, a sprawa polska“, Słyszycie... cha!.. cha! — hipopotam i zaraz, naturalnie, niepodległość Polski! to kapitalne!..

Harry ryczał ze śmiechu. Śmiała się serdecznie lady Thomson; cichutko, łagodnie—Gladys... Śmieli się wszyscy.

Szpileczka celnie została wymierzona. Była, jak najostrzejsza ostroga, zmuszająca rumaka do przesadzenia przeszkody. Dziewczyna oparła się całą siłą o poręczę fotelu, zacerpnęła głęboko powietrza i... roześmiała się nagle, tak jak wszyscy. Nie! daleko bardziej dźwięcznie, perliście! Jej wdzięczny śmiech przeciął inny, ostry, rubaszny. Przeistoczenie było tak niespodziane, jak słońce, które przedrze się nagle przez zwały chmur.

Twarze wszystkich obecnych zwróciły się ku niej. Polka nic a nic się nie obraziła? przeciwnie, usta jej układały się w filuterny uśmiech, oczy rzucały blaski.

— O, darling!—zwróciła się zupełnie swobodnie do przyjaciółki, — mister Frechwater jest czarujący! zaczyna mi się doprawdy bardzo podobać... powtórz mu to! — a teraz pozwólcie mi odejść do siebie... — i uniosła wysoko w obu dłoniach, niby najcenniejszą czarę, wszystkie przed chwilą otrzymane listy.

Lecz nie pozwolono jej ani na sekundę pozostać z niemi samej.

Wszystko było ukartowane oddawna, i trzeba było pośpieszać. To Harold zapraszał znowu cały dom i wszystkich przyjaciół tego domu na ostatni, najciekawszy seans do... kina.

Co? ona nie miałaby dzisiaj ochoty? ale niby dlaczego, kiedy wszyscy są właśnie w bajecznych humorach i gdy trzeba korzystać: przez całe trzy dni, bowiem, będą zamknięte teatry, kina, dancingi. Nie powinna psuć nigdy nikomu zabawy, to niesmaczne... A więc jazda! do auta!

Przedzierali się ostrożnie przez gęste, zwarte kłęby mgły, zwane — „kieszeniami“, sygnalizując i trąbiąc bez przerwy na wszystkie strony, i tak przez kilka mil, do najbliższego miasteczka.

Halina zadzierała głowę do góry, napróżno starając się dojrzeć pierwszą gwiazdę na niebie, w którejkolwiek bądź stronie. Najwyższy na nią był czas! Nie było jednak widać ani nieba, ani gwiazd. Pachniało nieprzyjemnie wilgocią.

W miasteczku tłumy osaczyły gmach teatru świetlnego. W największej sali kinowej było zresztą, i tego wieczora tak samo, jak zawsze.

Przepełnienie, szaro od dymu. Mężczyźni ćmią fajki. Kobiety nie wyjmują z ust papierosów. Z orkiestry słychać tylko uderzenia bębnow. Smukłe, blade dziewczyny, ubrane wszystkie, jak siostry, bliźniaczko podobne do siebie, wykrzykują monotennie:

— Kawa mrożona! Banany! Lody w czekoladzie! — i wszyscy raczą się smakowicie: poto przecież tu przyszli!

Tylko Halina nic przełknąć nie może, aż się dławi... A kiedy robi się ciemno, i najmilszy Charlie Chaplin zaczyna tak pocieszenie szurgać swemi dziurawymi kamazami, że tłum aż ryczy z uciechy—ona odjeżdża...

Odjeżdża za morza i wzgórza do pewnego kraju, gdzie właśnie o tej godzinie, w tym dniu grudniowym, jest tak wyjątkowo uroczyste, tak rodzinne, tak zbożnie w każdym domu polskim... we wszystkich domach polskich!

I tęskni, tęskni naraz aż do dzieciennie-niemądrych łez, wycieranych nieznacznie rękawiczką, do swojej własnej, tak inaczej, tak pięknie obchodzonej gwiazdki, której, żeby nie wiem gdzie i kiedy — zapomnieć nie sposób!..

* * *

Cudzoziemka stanęła przed płonącym kominem, wyciągnęła nad ogniem różowe, zmarznięte dłonie. Tuż nad nią kołyszą się lekko gałązki jemioli. Są już sztywne, skostniałe, jak martwe.

W pokoju duszno od umierających storczyków.

Staruszek-zegar na konsolce wydzwania cichutko dwunastą.

Naraz Harold robi parę kroków, staje tuż-tuż za ramieniem Haliny, i mówi dobitnie, prawie rozkazująco: — Kiss me quick! *) — i posuwa się jeszcze bliżej.

Teraz oboje objęci są gorącymi promieniami ognia. Ale Halina jest przytomna, zadziwiająco przytomna. Najmniejszego niepokoju w sercu. Głowę unosi, jak może najwyżej.

— Kiss me, Halina! — powtarza afrykanin mniej rozkazująco, poraz pierwszy wymawiając to dziwne imię, i dziewczyna widzi bliższe od ust swych pobladała, — białą prawie — twarz mężczyzny i pociemniałe, czarne prawie, oczy. Właśnie, zupełnie inne, niż zwykle. Brzydkie.

I wyczuwa jego oddech przyspieszony, 'tropikalny, i jego nagłą niecierpliwość,—iuśmiecha się z całym okrucieństwem kobiety, świadomej w tej chwili swej przewagi.

Zaczyna powoli, umyślnie bardzo powoli i kokieterjnie:

— Nie pocałuję cię... nie, Sir! I cóż stąd, że macie taki właśnie zwyczaj... U nas, w moim kraju, dzisiaj nikt nigdy nie krzywdzi nikogo. Pan mnie mocno zranił. Nie pocałuję... nie chcę! Jestem w tej chwili daleko stąd, bardzo... jestem calusienką — tam — w domu, z moimi ludźmi... Dobranoc panu!

I już jej niema.

Harold stoi wyprostowany, sztywny, wciąż na tem samem miejscu, pod kołyszącą się lekko gałązką jemioli.

*) Pocałuj mię prędko!

(Koniec)

W. MIŁASZEWSKA

28

KACZĘTA

(powieść)

On, który biegał najzwinniej, nikomu się nie dał prześcignąć, skakał przez rowy, jak żrebak! Mój biedny Staś, który mawiał ze śmiechem, że nie potrzebuje własnego auta, roweru, ani nawet wierzchowca, bo zawsze i wszędzie, dokąd tylko zapragnie, zaniósą go własne nogi—najlepszy, nieużyty mechanizm, czerpiący siłę nie z węgla, czy benzyny — ale z jego własnej istoty!..

Otóż się popsuł ten mechanizm! W najradośniejszej chwili, kiedy z dumą na czole i promiennymi oczami wjeżdżał do zdobytego miasta, jakiś straceniak strzelił do przechodzących szeregów. Może jeszcze tego samego dnia zginął — ale przedtem wystrzelił! wystrzelił ostatni swój ładunek do polskiego żołnierza... I tym żołnierzem właśnie musiał być Staś..

Patrzę teraz na niego, na tę twarz tak zmienioną, i usiłuję odgadnąć: o czym on myśli? Czy wspomina, jak było, czy może męczy się, co potem będzie?

Bo on się ciągle męczy, a ból przy opatrunkach jest głupstwem wobec tej drugiej rany!

Na pozór uspokoił się i jakby zobojętniał wobec swojego nieszczęścia. Nie mówi o niem, nie wyrzeka. Ale każde, najprostsze słowo ma w sobie gorycz trującą. Wspomniałam mu, na przykład, przed kilku dniami, że Adelka chętnieby przyjechała.

— POCO? — rzekł. — Niepotrzeba.

— Zawsze przecież, Stasięńku to twoja siostra... Chce cię zobaczyć, uściskać...

— Niech siedzi w Kopytowie — odparł Staś — niech sobie gra w tenisa. Ona tak lubi grać w tenisa. Mnie tu nic po niej...

I zaraz umilkł, jakby go zabolala ta pewność, że, mimo wszystko, Adelka może grać w tenisa, a on...

Próbuję rozerwać go trochę, zająć uwagę czytaniem. Dziś przyniosłam z miasta świeży numer gazety. Cóż, kiedy po kilku zdaniach spostrzegłam, że go każda wiadomość ze świata rozdrażnia. A jak na złość, każdy artykuł jeżył się prosto od takich słów: „przemarsze wojsk...“, „przekroczenie budżetu“, nawet ceny, i te znowu „skoczyły“...

— Wszystko chodzi, biega i skacze — ozwał się Staś. — To nudne wkońcu!

I obrócił głowę do ściany.

Czasem myślę z zalem, że dla nas obojga byłoby lepiej, gdyby się wyskarzył przedemną, ponarzekał na swoją niedolę... Pomarudził trochę, jak każdy chory. Ale może ja mam inną naturę, a on zupełnie inną. Tylko, że z tego milczenia siada na duszę ciężka

mgła. I, żyjąc blisko, nie widzimy się wzajemnie, jak ludzie, których przegradza mur.

16 maja.

Wczoraj przynieśli ten list. Obce pismo: krągłe, równiutkie litery, jak paciorki, nawleczone na nitkę. Stempel pocztowy z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka.

Gdybym była wiedziała!

Chociaż—nie. Może tak stało się lepiej. Pierwszy raz oddawna poczułam, że naprawdę jestem Stasiowi potrzebna.

Było to o zachodzie. Nie spał, więc podeszłam do łóżka:

— Stasiu, masz list od kogoś. Ale to nieznanome pismo.

Wyciągnął rękę i długo obracał kopertę na wszystkie strony. Jak gdyby się namyślał, czy ją rozerwać. Wreszcie powiedział:

— Tu za ciemno. Trzeba poczekać, aż zapala światło. Albo zresztą, niech ciocia podejdzie do okna... zawahał się:

— ...i głośno list przeczyta...

Otworzyłam kopertę. Czytałam słowo po słowie, datę u góry i nazwę miejscowości. Staś leżał z przykniętymi oczami.

— „Druhu Stachu!...“

Podniósł cokolwiek głowę i znowu opadł na poduszki.

— Niech ciocia czyta dalej. Wiem, od kogo ten list.

Czytałam:

— „Druhu Stachu! już dwa tygodnie dawno minęło, jak Druha zostawiłam w L... I jestem bardzo niespokojna. Dlaczego Druh nie pisze? Czy to ładnie obiecać tak solennie i nie dotrzymać? Nawet nie wiem, jak się Druhowi dalsza droga powiodła. Czy w pociągu nie było za tłoczno? Czy Druh mógł biedną nogę oprzeć wygodnie? Zadałam tyle pytań, a nie wiem nawet, jak ten list dojdzie do rąk Druha... Może już zdrow i dalej — do domu pojechał? Zła teraz jestem na siebie, strasznie zła, że nie zapisałam adresu.. Kto wie, kiedy i gdzie się znowu spotkamy? Ja tutaj posiedzę jeszcze z 10 dni. Niech Druh napisze koniecznie, koniecznie! Choć kilka słów! Potem wyruszę z domu, nie wiem jeszcze dokąd, ale pewnie daleko. Ale na jesieni postaram się przyjechać do Warszawy na nasz zjazd. To wtedy chyba już napewno się zobaczymy. Adres mój ten sam co w zeszłym roku, chociaż się pewnie zatrzymam u stryja bo poco miejsce zabierać koleżankom, jeżeli mam gdzie

przenocować Ze mną—nic nowego. Pracy dużo, a pomysłów na przyszłość jeszcze więcej. Przy widzeniu się wszystko opowiem szczegółowo. Tylko nie krytykować bardzo, Druhu Stachu! bo ja przecież od niedawna pracuję, i nawet to Druh nazwał mnie „Benjaminkiem”? Więc nic dziwnego, że taki „Benjamin” mało ma doświadczenia w pracy i niejedno dobrze pomyśli, a wykona nie tak... W każdym razie z naszych harcerek mogę już teraz być dumna. A może Druh kiedy przyjedzie, to sam zobaczy... Tę naszą ostatnią podróż często wspominam. Chociaż biednego Druha bardzo noga bolała, ale miał gęstą minę... I tak się dobrze rozmawiało! Kiedy ja znów Druhowi opowiem wszystko, wszystko, co się zebrało w mózgu, w sercu i — na wątrobie? Ale proszę być lepszym i odpisać natychmiast. Ja przecież drugi list wysłałam, a takiej umowy nie było, Druhu Stachu? Tymczasem serdecznie uścisk dłoni i nasze harcerskie „czółem!” przesyła
Druhna Jagienka.“

Już się zupełnie ściemniło i z trudem doczytałam ostatnie zdania. Staś milczał, a ja nie śmiałam o nic pytać. Po długim dopiero czasie ozwała się nieśmiało:

— Zaczyna jakaś dziewczyna...

Poruszył się, oparł na łokciach i siadł:

— Ciociu, tam w stoliku musi być mój portfel skórzany. Niech ciocia mi da ten portfel.

Był portfel. Wziął go z moich rąk i długo szperał w przegródkach. Wreszcie wydobyl małą fotografię, jakich się do paszportu używa. Podał mi ją:

— To jest właśnie ona.

Ze skrawka sztywnego papieru uśmiechała się buzia krągła, bardzo dziecinna, w kapeluszu skautowskim, trochę zsuniętym z czoła. Dobrze, jasne oczy patrzyły prosto przed siebie. W rogu widniał podpis drobnym maczkiem, cokolwiek zamazany, jakby skreślony w pośpiechu:

„Dzielnemu Druhowi Stachowi na pamiątkę 21/IV.19.
Druhna Jagienka.“

Staś objaśnił:

— Wyjechaliśmy razem z Wilna. Opiekowała się mną w drodze. To moja młoda koleżaneczka, skautka.

— Niech ją Bóg błogosławi!.. — szepnęłam.

Staś ożywił się nagle:

— Wie ciocia, że świecą szukać drugiej takiej dziewczyny! Ma teraz siedemnaście lat, a dotarła do Lwowa sama jedna, w przebraniu. I nic w niej niema z tych awanturnic, które tylko robią koło siebie dużo hałasu! Służyła, jako prosty żołnierz... Takie śmieszne, małe ręce dźwigały karabin! Zostawili ją na niebezpiecznej placówce. Jabył może stchórzył i uciekł—ona została. Wzięli ją do niewoli ukraińcy. Cudem

wymknęła się. Teraz była pod Wilnem, jako sanitariuszka. Dali jej urlop, więc mię odwiozła na pół drogi. Obiecaliśmy pisywać do siebie... Ale teraz...

Urwał i po chwili rzekł, marszcząc brwi:

— Nie odpiszę jej wcale.

— Dlaczego, Stasiu?

— Bo... tak lepiej. Niech sobie o mnie źle myśli. Niech się pogniewa.

— Czemużby się gniewała na ciebie? Napiszesz jej, że jesteś chory, że...

Przycisnął usta wierzchem dłoni, jakby chciał stłumić westchnienie, albo jęk:

— Nie, nie! — mruknął złym głosem.

A po chwili znów, nawpół do siebie:

— Czasem lepiej pogniewać się i prędzej zapomnieć, niż długo pamiętać i cierpieć.

Chwycił nagle biedny list druhny Jagienki i od jednego zamachu przedarł na dwoje. Chciałam krzyknąć: — „Co ty wyrabiasz?!“ — ale w tej samej chwili, gdy strzępki listu zsuwały się jeszcze po kołdrze, Staś nagle zakrył twarz rękami.

— Stasiu mój... Stasiu! Posłuchaj...

— Niech mię ciocia zostawi! — szepnął głosem, zduszonym przez łzy, czy przez wzruszenie. — Chcę być sam. Może usnę.

Odeszłam. Siadłam sobie przy oknie. I nagle zrozumiałam wszystko, jakby mi kto zasłonił ciemną zardł z oczu: Ta mała druhna... Ta Jagienka... I ten mój biedny chłopak, co sobie dotąd „głowy nie zwracał babskimi amatorami“... Boże mój, Boże!..

Nagle Staś odezwał się cicho:

— Ciociu?

— Czego chcesz, kochanie?

— Co ciocia tam robi?

— Nic. Patrzę w okno. Wieczór jest taki ciepły i cichy...

— Niech ciocia tu podejdzie, dobrze?

Zerwałam się coprędzej:

— Potrzeba ci czego? Może poduszki poprawić?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Tylko tak. Próbowałam usnąć, ale nie mogę. Ciociu?

— Co, Stasiu?

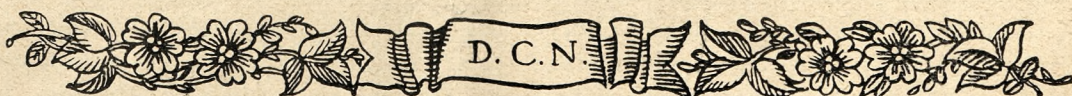
— Ciocia się na mnie nie gniewa?

— Za co, miły Boże?!

— A bo ja sam to czuję, że jestem często szorstki. Nieraz coś cioci odburknę. Ale żeby ciocia wiedziała...

— Wiem, Stasiu, wiem... rozumiem.

— Ciocia tak tylko mówi, z dobroci. Tego nie można zrozumieć. Och, ciociu, kiedy ja wreszcie pogodzę się z tem? Chyba nigdy! Okropne słowo: nigdy...



PAULA LAMOWA

KOBIETA W EPOCE ODRODZENIA

I. WYCHOWANIE

Triumfalne łuki architektury Odrodzenia wkraçały dumnie w kolumnady pałaców i witraże kościołów, w potężne wjazdowe bramy miast dumnej Italji i mosty nad Arnem i Tybrem — w pałac Dożów weneckich i więzienia przestępców — w zamki książęce i domy mieszczańskie, w nawy kościelne i klasztorne wirydaże, w majestatyczny pałac Signorji i tajemnicze okna średniowiecznych wież — w przepyszne fasady i bogate wnętrza pałacowe — i stały się motywem przewodnim złotej epoki włoskiej sztuki, kamieniem węgielnym pod rozkwit renesansowego stylu.

Niby symbol kraju zawsze kwietnego pod lazurówem niebem, skąpanem w żarze południowego słońca, wyrastały na każdym domu, niby konieczność, związana organicznie z architekturą renesansowej epoki — niby oprawa, nieodłączna od alei wyniosłych pinij i cyprysów — wazony z marmuru i alabastru, rozwarłe nakształt kwiatów w pełnym rozkwicie, podobne do puharów, upojnych nektarem tajemniczych ziół, czasem żywcem porwane z wykopalisk fiesoleńskich i etruską wysmukłością górujące nad innymi.

Łuk i wazon.

Na ich tle wzniesie się rychło złota klatka renesansowej damy, takiej, jaką widzimy na współczesnych portretach w otoczeniu zbytku i kosztowności: nieodrodną córkę Ewy, dumną ze swych pawich piór, rozmiłowaną we własnej urodzie, w bogatej oprawie ze złota, srebra, kosztownych klejnotów, naszyjników z drogich kamieni i perłowych kolij, owiniętą w karmazynowe i czarne aksamity, w adamaszki, brokаты, ciężkie mory, przywiezione z Sycylji i Messyny, w przejryste weneckie i turyńskie koronki, wśród misternie rzeźbionych w drzewie wnętrz pałacowych, w komnatach, malowanych „al fresco“, zdobnych w bezcenne kominki z kości słoniowej i wykładanych wspinałami arrasami, przywiezionymi z dalekiego Wschodu, — zostanie w historii żywym świadectwem najbogatszej epoki.

A jednak, jeśli kobieta w dawnych wiekach w żadnym społeczeństwie nie była pożądanym potomkiem, to w żadnym kraju nie dano temu życzeniu tak silnego wyrazu, jak właśnie we Włoszech, za czasów największego rozkwitu. Gdy narody północne i zachodnie w bogobojności swojej nie domagały się jawnego wypowiedzenia ukrytych życzeń, kultura włoska nie wahała się sprecyzować formalnie i legalnie, że właściwym potomkiem rodu jest i zostać może jedynie mężczyzna.



Boticelli: główka dziewczęca

Mimo wszystko, jeśli już na świat przyszła dziewczyna, otaczano ją, zależnie od majątku i stanu, możliwie największym zbytkiem i przepychem, a jeśli była piękną, — uważano ją za najcudniejszą ozdobę kraju i strojono tak, aby dla przyszłych wieków pozostała w malarstwie i rzeźbie odzwierciedleniem stylu i kultury epoki. Ale nad wychowaniem kobiety, niby miecz Damoklesa, ciążyły od najdawniejszych czasów nakazy świętych, dzieła wybitnych pisarzy, prorocstwa astrologów, rozporządzenia miast, statuty Soboru trydenckiego, rozkazy papieży i monarchów, a wszystko to miało na celu utrzymanie jej w ciemnocie, ażeby zczasem nie stanęła narówni z mężczyzną i nie zapomniała o swoim powołaniu kobiety i matki, a przede wszystkim — powolnej życzeniom małżonka — żony i kochanki. Humanizm i epoka odrodzenia wprowadzają kobietę w nowe życie nauki i wiedzy, ale po-

ciągają za sobą równocześnie rozdwojenie w jej wychowaniu, dając wartości niewspółmierne z wymaganiami ogółu, jednakże w sprawie tak wystawnej, że obmyślenie jej, konstrukcja, dobór materiału, barw i kosztowności,—musiały pochłoniąć lwią część czasu kobiety wykształconej. Był to jedynie dowód, że ramy przepychu i stroju, podnoszącego urodę niewiasty, stanowiły konieczny łącznik w jej współżyciu z mężczyzną i w uzyskaniu praw, które ograniczyła jego władza.

Rozdźwiękiem w młodości dziewczyny włoskiej był kontrast między hartem męskim, jaki nadawano jej wychowaniu, każąc jej strzelać z łuku, brać udział w łowach, a nawet odgrzebywać trupy skazanych na śmierć i bawić się głowami przestępców,— a równocześnie jej życiem klasztorzem, pozbawionem uciech i oddaniem religii.

Przez całe średniowiecze wychowanie kobiety, z małymi wyjątkami, nie zmienia się i nie idzie z postępem czasu. Jeszcze w roku 821, ów Benedykt d'Amiano, w dwudziestym czwartym artykule swoich reguł zaleca jedynie kobiecie: skromność, miłość Boga i bliźniego i znajomość religii.

W XIII w. Filip z Navarry utrzymuje, że kobiecie wystarczą wiadomości, wpojone jej przez mamkę, a więc szycie, kołowrotek i modlitwa, albowiem nauka przewraca jej w głowie. Nawet Francesko Barberino, poeta włoski, który skłania głowę przed wiedzą niewiasty, oddanej rozmyślaniom i nauce w celi klasztornej, nie waha się do kobiety świeckiej zastosować starego włoskiego przysłowia: „Strzeż nas, Panie, przed mulem, który ryczy, i przed dziewczyną, która mówi po łacinie!”

Dopiero epoka renesansu przebija wiekowe ciemności w umysłowym rozwoju kobiety, przeciwstawia intelektualnej wyżynie mężczyzny cały szereg kobiet wykształconych i stojących narówni z najwybitniejszymi przedstawicielami kultury włoskiej; daje jej możliwość wypowiedzenia się na każdym polu, dostępnym dotąd tylko dla mężczyzny.

Krystyna de Pisan, włoszka, żyjąca w Paryżu, wielka feministka, w swoim „Cité des Dames“ występuje gorąco przeciw dotychczasowej ciemności kobiet, wzywając do trwałej i nieustającej pracy w kierunku wiedzy. Jako córka profesora uniwersytetu w Bolonji, zastępowała ona nieraz ojca w wykładach, a nie chcąc wielką swoją urodą rozpraszać skupienia uczonych, okrywała twarz welonem. Pierwszą kobietą, żyjącą we Włoszech z pióra, była właś-

nie Krystyna de Pisan. Ale obok niej inne kobiety zdobywają rychło prawa uczonych. Jeszcze w pierwszej połowie XIV wieku wykłada w Bolonji prawo Magdalena Bonsignori. — Giovanna Bianchetti, dama dworu króla czeskiego Karola, zna dokładnie prawo rzymskie i włoskie, mówi po niemiecku i czesku i językami temi włada w słowie i piśmie. Marja Luiza Cicci osiąga w klasztorze sztukę czytania i pisanie, mimo surowego zakazu ojca, i zostaje poetką. Dorota Bucca słynie jako matematyk i filozof. Laura Ceretta wydaje dzieła teologiczne. Ród Sforza szczyści się zastępem uczonych niewiast, którym przewodzi Bona Sforza, późniejsza królowa polska, dobra znawczyni dzieł Wergilego i Cycerona, rozmiłowana w lekturze św. Augustyna, św. Chryzostoma i św. Hieronima. Izabella d'Este umiała na pamięć Bukoliki i Eneidę, czytała Platona, Arystotelesa i zajmowała się historją Ojców Kościoła, gdy Lukrecja Borgia w językach klasycznych i romańskich umiała układać rymy i akrostychy. Listy dam renesansowych wielkiego świata pełne są cytat greckich i łacińskich, a w znajomości filologii klasycznej, damie znakomitego rodu nie ustępuje także kurtyzana.

I jeśli dawniej malarstwo było odzwierciedleniem pawich piór kobiety, a poezja wielbiła tylko jej urodę,— odtąd literatura Odrodzenia zaczyna sławić jej umysł i wiedzę. Boccaccio nie może dość nadziwić się kobiecie, która obok wiedzy literackiej umie rachować, jak kupiec, a ideałem mądrości ludzkiej nazywa Joannę Papieżycę, gdy Petrarca w swoim „Triumpho del Amore“ z uwielbieniem mówi o współczesnej poetce Solvagji i stawia ją na równi z Dantem. Jednakże nie cała literatura przyjmowała poklaskiem renesans życia kobiety. Popularny Agostino de Bergamo, łysy brzydał, za swoje niepowodzenie u kobiet mścił się sromotnie, powołując się na zdanie Homera i Pytagorasa, że najlepszą jest kobieta, która żyje i ceni sobie współżycie z mężem. Równocześnie, obok świętego Bernarda, który w swoich kazaniach sienneńskich chwali kobietę światłą, w przeciwstawieniu do tej, która żyje, jak w letargu, obok liberalnego kardynała Bembo, który nepotkę swoją każe kształcić na kulturze klasycznej—kler patrzy niechętnie na ewolucję życia umysłowego kobiety. Od czasów XIV w., kiedy to św. Hieronim nakazywał dziewczicom zastrzone posty i głód, aby tylko nim zajęte, nie miały innego pożądanego — unikano we Włoszech wszystkiego, co mogło rozbudzić inteligencję i zmysły młodej dziewczyny.



WANDA PESZKOWA

AMERYKAŃSKA SZKOŁA DLA DZIEWCZĄT

W Ameryce, jak i wszędzie, wykształcenie kobiece ma swoje wielkie braki. Szkoły w ostatnich latach dodały ręczną pracę do swego programu dla chłopców, a gospodarstwo domowe—dla dziewcząt, to ostatnie, zresztą, nieraz nieodpowiadające swojemu celowi. Nie można wychować dziewczyny, nie oglądając się na fakt, że może będzie zmuszona pracować na życie, a również trzeba pamiętać, że większość wychodzi zamaż. O jednym też nie należy zapominać:—cokolwiek kobieta robi w życiu, to jednak zawsze wydaje pieniądze. I dlatego trzeba przedewszystkiem, wyrobić w niej odpowiedzialność.

Wyrobienie odpowiedzialności znajdziemy w pewnej amerykańskiej szkole dla sierot. Nazywa się ona: „Carson College for Girls.“ W r. 1907 pewien bogaty obywatel m. Filadelfji umarł, pozostawiając 5.000.000 dolarów i fermę w Pensylwanji na ufundowanie szkoły dla „zdrowych, ubogich dziewcząt, których oboje rodzice nie żyją.“ Dziewczynki miały wstępować w latach sześciu do dziesięciu, opuszczać szkołę—w ośmnastu. Prócz tego Robert Carson pozostawił pewne wskazówki prowadzenia tej szkoły, które dały jego spadkobiercom asumpt do próby obalenia testamentu, jako pisanego przez człowieka niepo czytelnego. 10 lat trwała sprawa, wreszcie w 1918 r. otwarto College.

Na dyrektorkę wybrana była panna Elsa Ueland, młoda nauczycielka, przejęta postępowymi ideałami wychowania. Właśnie rada opiekuńcza wybudowała wielki granitowy gmach na szkołę; p. U., obejrzawszy go, rzekła: „Wspaniałe będą klasy, sale gimnastyczne, gabinety i inne zła konieczne. Ale dzieci tu nie mogą mieszkać.“ Były na fermie jakieś stare domki, szopy, i natychmiast cztery przerobiono na nowoczesne „cottages“. Gdy dzieci przybywały, donajmowano domki wiejskie, i teraz przeszło sto szczęśliwych sierotek mieszka w przytulnych dziewięciu domkach, z ogródkami, stodołami, kurnikami, psią budą i szopami na króliki. W każdym domu mieszka nauczycielka, a dziewczynki żyją, o ile można, jaknajnormalniej po domowemu. Każda z kolei sprząta, gotuje, chodzi na targ, pracuje w ogrodzie etc. Do boisk szkoły, sal gimnastycznych, sali tanecznej, czytelni, opieki lekarskiej—dopuszczone są dzieci z mia-

sta; a cokolwiek miasto daje dzieciom swoim, z tego korzystają także sierotki.

Od chwili, gdy dziewczynka wstępuje do szkoły, wie, że ma własne pieniądze. Pewna kwota jest odkładana rocznie dla każdej na kupno ubrania, przyjemności, teatr, wystawy, a potem na nauczanie się rzemiosła, lub zawodu. Z początku suma jest bardzo mała, ale wystarczająca i należy tylko do dziewczynki. Może ją wydać, jak się jej podoba. Naturalnie—otrzymuje rady, rady doświadczonych osób. Kształci się w niej dobry gust i zdrowy rozsądek, lecz czy jej sukienka będzie granatowa, czy zielona, lub czerwona, to nikogo, prócz niej, nie obchodzi. Pan Carson pozostawił jeden tylko warunek w sprawie ubrań:—zastrzegł, aby każda dziewczynka była inaczej ubrana. Psycholog był z niego nielada!

Kiedy dziewczynki mają już po 13—14 lat, dochody ich zwiększają się, i muszą same układać swój budżet. Każdy grosz wydany musi być zapisany; uczą się, jak to korzystnie odkładać pieniądze na kupno rzeczy ważniejszych, zamiast wyszastać na drobiazgi. „Konferencje finansowe“ z nauczycielką, wyspecjalizowaną w tych sprawach, na czele, są jednym z najważniejszych rysów pracy wśród starszych dziewcząt.

Każda wie, że mając lat 18, musi zacząć zarabiać na życie. Przygotowały się do tego oddawna. Znają stolarstwo, drukarstwo, introligatorstwo; pracowały w czytelni, w kancelarji i infirmerji szkolnej. Umieją pisać na maszynie, prowadzić księgi. Mając lat 16, zaczynają się już nieco orientować, do czego się nadają. Po przejściu do szkół specjalnych, mieszkają dalej w swoim dawnym College. Kończą Instytut Pedagogiczny, szkołę ochroniarską, pielęgnarską. Praktykują w składach bławatnych, w pracowniach damskich, u fryzjerów. Idą do wyższych szkół handlowych, do szkół sztuki stosowanej i rzemiosł.

Każda nadaje się na dobrą matkę i gospodynię. Lata całe pracowały w prawdziwych kuchniach, pralniach i krawieckich pracowniach. Znają też wiejskie kobiece gospodarstwo. Pomagały wiejskim matkom przy niemowlętach. Nauczyły się myśleć inteligentnie, liczyć na siebie i stawiać czoło światu, w którym każdy tonie lub wypływa, żyje lub ginie, jak na to sam zasłużył.





TEATR POLSKI;

„Moralność pani Dulskiej”—tragikomedja kołtuńska w 3 aktach — *Gabrjeli Zapolskiej*. Reżyserował *Jerzy Leszczyński*.

Ilekróć jestem na dobrej sztuce, tyle razy uporczywie prześladuje mnie myśl, że życie jest jednak bardzo marnym teatrem. Wałęsają się, wprawdzie, po świecie znakomite typy komedjowe, tułają się beżpańskie sytuacje, wiedznią w cieniu nieświadomości dziewicze paki pomysłów, którym raz na sto lat, jak kwiatom agawy, danem jest rozkwitnąć w tropikalnem świetle kinkietów. Specjalnością życia jest połowiczność, niedociągnięcie, albo przeciągnięcie struny, pokazanie duszy ludzkiej w profilu, w trzech czwartych, nigdy—en face. Poprostu, jest to fuszerka wędrownego fotografa, który wszystkim swoim klientom nadaje ten sam paszportowo-kryminalistyczny wyraz. Dopiero prawdziwy mistrz teatru chwytą na magnes talentu te wszystkie luźne opiłki ludzkie, te pokawałkowane fragmenty życia, tworząc z nich doskonalszą rzeczywistość, — rzeczywistość sztuki.

Ten czarodziejski lep w rękach miała Zapolska. Jak muchy, lgnęły do niego pogubione w tłoku, zapomniane w szarzyźnie codzienności strzępy istotnego, podświadomego życia. A ona, z pewnym sadyzmem szczerości, wydobywała je na powierzchnię, aby pokazać je w pełnej ohydzie ich organicznych funkcji i pogрузić znowu tam, skąd były rodem: w za-tęchłym bagienku drobnych występków, małomieszczkańskich cnót, w kołtuństwie miernoty i hipokryzji.

Najśmielszych i najtrafniejszych cięć na ospałym cielsku prakołtuna dokonała Zapolska w „Moralności pani Dulskiej.” Nie były to jednak, niestety, ciosy śmiertelne! Wielka wojna obaliła mnóstwo potęg; jeszcze więcej przewartościowała, lub wywróciła na nice: ale nie zdołała zabić kołtuństwa. Jak polip, przyczaiło się ono na dnie wzburzonych odmętów, aby po przejściu burzy rozwinąć ocalałe macki i tem mocniej objąć pewne warstwy społeczeństwa uściskiem niedostrzegalnym, lecz zabójczym psychicznego wampira.

I dlatego moment wznowienia „Moralności” trafnie został wybrany, pomimo, że wyrosliśmy, lub wyrastamy już z tych form kołtuństwa, jakie swem nieporównanem piórem unieśmiertelniła Zapolska. Ale mniejsza o formy. Chodzi tu raczej o zasadniczą

postawę człowieka wobec życia, jego celów i zadań; a ta postawa na długo jeszcze pozostanie problematem, wywołującym rozdzźwięk między dwiema rasami ludzi, pleniącymi się nieraz pod jednym dachem: rasą kołtunów i rasą buntowników,—pożeraczy i pożeranych.

Teatr Polski dał tej bezkrwawej walce polipa z łupem godną i staranną oprawę. Każdy szczegół był podkreślony i wyczyszczone należycie: od papilotów i historycznych pantofli pani Dulskiej, aż do bibułkowego motyla na lampie. Nie rozumiem tylko, dlaczego zmieniono lwowski charakter tła. Przywykliśmy do tego, że pan Dulski chodzi „na Wysoki Zamek”, — dlaczego paczyć rzewne wspomnienia dzieciństwa i wyprawiać go na „kopiec Kościuszki”?

Słubicka zagrała panią Dulską: nie zdołała nią być, nie zmusiła nas do wiary, że Dulska żyje naprawdę. Żeby być Dulską, nie dość jest robić piekło i pieniądze: to potrafi każda sekutnica i sknera,—ale trzeba być kapłanką, podtrzymującą w ognisku rodzinnem niewygasły płomień kołtuństwa, i wtedy dopiero sprosta się genialnym intencjom autorki.

Fritsche, niemy wykonawca Dulskiego, raz tylko w wielkiej scenie dramatu rodzinnego wybuch-



Rozmowa pani Dulskiej (Słubicka) z lokatorką (Kuncewiczówna)

jący szczerym okrzykiem serca: „niech was wszyscy djabli!“ — osiągnął pełnię wymowy, jaką może dać pieśń bez słów.

Najszczerzą, najbezpośredniejszą, najrzeczywistszą postacią była Hanka w interpretacji Pancewiczej. Zahukane i ponure wiejskie dziewczysko, uginające się pokornie, jak ziemia, pod przeorujący ją pług cudzej woli, dopóki lemiesz krzywdy nie zatarga w niej wnętrzościami hardego człowieka.

Romanówna w roli Hesi była godną córą Dulskiej, Malicka—nieodrodnym dzieckiem Dulskiego. W jednej skupiła się cała krwistość rodu, w drugiej—jego anemja i melancholja. Romanówna interesująco i z krzykiem „turlała“ się po scenie, prezentując hojnie barchanowe majteczki, Malicka natomiast była słodka i mdła, jak ciągutka. Aldona Jasińska doskonale poruszała się w pełnym uzbrojeniu zawodowej kokietki z początku bieżącego stulecia. Ta inteligentna i sumienna artystka we wszystkie swoje role wkłada zasoby rzetelnej pracy i szlachetnego umiaru artystycznego. Jako Juljasiewiczowa, może zamało podkreślała perwersyjne oblicze typu.

Jerzy Leszczyński, jako Zbyszko Dulski, nie miał pola do rozwinięcia właściwych sobie uroków. Lwia ich część została za sceną.

S. P. O.

TEATR LETNI:

„Szkoła wdzięku“—komedia w 3 aktach *Alice Duer Millera i Roberta Milтона*. Przekład i reżyserja *Emila Chaberskiego*. Dekoracje *Aleksandrowicza*.

Czy znacie „Anię z Zielonego Wzgórza?“ Tę śliczną książkę o przygodach naiwnej pensjonarki, a później nauczycielki ludowej w Ameryce? Dlaczego na premierze „Szkoły wdzięku“ upatrywałam ciągle rudej główki Ani, między ciemnymi i płowemi czuprynkami wychowanek „Szkoły wdzięku?“ Czy dlatego, że i tu, i tam przepływa ten sam strumień naiwnej wiary w ludzi i życie? Czy dlatego, że i tu, i tam drobne konflikty i zawikłania nawskroś filmowe układają się prosto i jasno, jak ćwiartki pomarańczy na kryształowym talerzyku? I że wysłuchanie takiej sztuczki orzeźwia, jak szklanka oranżady w dusznej pogoni za fatą morganą wielkowiejskiej pustyni? Może...

Dość, że „Szkoła wdzięku“ jest miła, rozbrajająco głupia i doskonale zagrana. Szczególniej Gellówna i Kurnakowicz porywali żywiołowym komizmem.

S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WSZECHROSYJSKI ZJAZD KOBIET SOWIECKICH

Zapowiadany od roku, reklamowany szeroko nie tylko w prasie, lecz i przez niezliczonych mówców komunistycznych, wyjeżdżających z Moskwy na wieś, by ludność wiejską informować o znaczeniu tej niezwykłej imprezy (mającej, oczywiście, na celu akcję agitacyjną) — odbył się wreszcie w Moskwie, przy końcu października r. b., Wszechrosyjski Zjazd Kobiet Sowieckich.

Ostatni kongres kobiet sowieckich, który był zarazem pierwszym ich zjazdem, miał miejsce w listopadzie 1919 roku.

Na 2-gi zjazd moskiewski stawiło się przeszło 900 delegatek ze wszystkich krańców Rosji, jakoteż liczne delegacje robotnic angielskich i niemieckich, zatrudnionych w przedsiębiorstwach rosyjskich.

Nigdy chyba Wielki Teatr w Moskwie nie mieścił w swych murach tak barwnego i różnorodnego tłumu kobiecego, jaki się dał zauważyć podczas tego kongresu.

Niezliczone, najfantastyczniejsze nakrycia głowy, włącznie do modnych kapeluszy doby dzisiejszej, najrozmaitsze kostjумы narodowe — mogłyby się przyczynić do wzbogacenia zbiorów muzealnych niejednego muzeum etnograficznego.

Z samej tylko Azji środkowej przybyło 15 delegatek różnych narodów, tyleż mniej więcej z Kaukazu, a z północnych prowincji Rosji stawiły się tłumnie: Samojedki, Jakutki, Permiaczki, Tunguzki, Burjatki i t. d. i t. d. bez końca. Wszystkie zaś przybyły w kostjumach narodowych, niezwykle małowicznych i różnorodnych.

Ponieważ dzisiejsza unja sowiecka jest organizacją państwową wielkiej ilości narodów, głównie pochodzenia wschodniego, które dopiero po rewolucji weszły na drogę rozwoju swego życia narodowego, przeto przedstawicielki tych licznych plemion i ras, zebrane w jednej, obszernej sali, tworzyły niejako żywy, barwny atlas etnograficzny, któremu można byłoby się przyglądać z ogromnym zainteresowaniem. Stwierdzić jednak należy, że chociaż kobiety, biorące udział w zjeździe, rekrutowały się z pośród najinteligentniejszych działaczek społecznych i politycznych poszczególnych prowincji rosyjskich—naogół biorąc, obrady całej tej elity umysłowej kobiet rosyjskich stały na poziomie o całe niebo niższym od poziomu przeciętnej konferencji mężczyzn.

Fakt ten jest najlepszą ilustracją stanowiska kobiet rosyjskich, które przez długie wieki żyły jakby w niewoli, za plecami swych „panów i władców“.

To też przemówienia prelegentów i prelegentek z ramienia rządu miały charakter niemal elementarny. Panowie ci prawili, po prostu, kazania „z ambony“ o posłannictwie Sowietów; o tem, jaką ciężką walkę musi staczać Unja Sowiecka o swą egzystencję; jak cały świat prześladowuje ją i nienawidzi, dlatego właśnie, że występuje „wszędzie i zawsze“ tylko w obronie ludu pracującego i pragnie „wyzwolić kobietę z niewoli!“

W rzeczywistości, jednak, sprawa „wyzwolenia“ kobiet przez bolszewików przedstawia się nieco inaczej. Jeszcze dziś znaczenie kobiety, jako czynnika społecznego, w wielu prowincjach Rosji jest bardzo problematyczne. Szczególnie na wsi kobiety walczyć muszą z ogromnymi trudnościami, stawianymi im na każdym kroku. Dotychczas zmuszone są dochodzić swej krzywdy niemal pięścią, dotychczas są „bijane“ i katowane przez „muzików“, jak i dawniej.

Po przemówieniach i „złotych bajkach“ przedstawiciele rządu, przybyłe delegatki zabierały głos pokolei.

Z trybuny rozlegały się dziesiątki najrozmaitszych języków. Tematami przemówień były liczne kwestje, związane z życiem kobiet. W słowach ogromnie naiwnych i pełnych oburzenia skarżyły się obywatelki republiki Uzbekistańskiej na to, jak całe wieki walczą bezskutecznie o równouprawnienie; Tatarki zsyłały na głowy swych mężów-tyranów wszystkie przekleństwa niebios za to, że żywią

wciąż pogardę dla płci słabszej i że zmuszają swe żony i córki do noszenia zasłony na twarzy i t. d. i t. d.

Dalej, delegatki z Rosji środkowej, bardziej już wyemancypowane, uskarżały się na niesłychaną niesprawiedliwość w XX wieku, na 30% tylko udział kobiet sowieckich w wyborach i na minimalny wogóle udział kobiet w Sowietach.

„Dość wolności na papierze! Dość obietnic-cacaneł! Domagamy się równouprawnienia w najszerszym znaczeniu tego słowa!” — pod takim hasłem odbyła się dyskusja kobiet na 2-im Wszechrosyjskim Zjeździe Kobiet Sowieckich w Moskwie. H. S.

KOBIETY W ANGLJI SĄ CORAZ WYŻSZE

Docent anatomji uniwersytetu londyńskiego, członek angielskiego Tow. Lekarskiego, prof. Parsons doszedł do przekonania, na zasadzie 20 letnich badań, że wzrost kobiet w Anglii stale się zwiększa. W r. 1907 Parsons przeprowadził pomiary wzrostu 150 studentek, ustalając przeciętną na 1,58 cm.; w r. 1917 przeciętna tej samej ilości wynosiła już 1,60 cm., w r. ub. — 1,62 cm. — podczas gdy przeciętna wzrostu studentów — 1,73 cm. pozostała przez te lata bez zmiany. Parsons przypisuje to zwiększenie wzrostu rozwojowi sportów, zaniechaniu gorsetu i higienicznemu trybowi życia dziewcząt. N. J.

TABLICA PAMIĄTKOWA KU CZCI PISARKI CZESKIEJ

W dniu pierwszym grudnia r. ub. odsłonięto w Pradze tablicę pamiątkową wielkiej pisarki czeskiej, Eliski Krasnohorskiej. Tablica, dzieło rzeźbiarki Vobisowej, umieszczona jest w domu przy ulicy Cárna, w którym zamieszkiwała Krasnohorska.



Tablica pamiątkowa Eliski Krasnohorskiej w Pradze Czeskiej

JAK JEST WE WŁOSZECH?

Według ostatniej statystyki zatrudnień kobiet w życiu gospodarczym Włoch ustalono, że na 1000 włoszek — 658 prowadzi gospodarstwo domowe, bądź to prywatne, bądź zawodowe. (np. prowadząc pensjonaty, restauracje, kawiarnie); 197 zajmuje się rolnictwem; 80 — pracuje w przemyśle; 30 — przypada na służbę domową; 14 — na pracę w handlu; 3 — w urzędach państwowych, i tylko 1,5 kobiet włoskich zajmuje się zawodami wolnymi i sztuką. H. S.

PROCES O POSADĘ STENOGRAFISTKI

Jak ciężko amerykanki, pozornie równouprawnione, muszą walczyć o równouprawnienie faktyczne, zwłaszcza w walce o byt, widać ze sprawy, która poruszyła całą opinię Stanu Wisconsin.

Rząd Stanu ogłosił konkurs na kilka posad stenografów sejmowych. Pomiędzy licznymi kandydatami była i kobieta, Miss Kolt, która zdała świetnie egzamin konkursowy i posiada wszystkie warunki, wymagane na to stanowisko — pomimo tego posadę otrzymał mężczyzna, który wcale do konkursu nie stawał!

Miss Kolt wytoczyła rządowi proces, w którym stanęła, jako obrońca, adwokatka Miss Rupa. Proces ten przeprowadzono przez wszystkie instancje. I cóż się okazało! Zainterpelowany minister Sprawiedliwości oświadczył, że posłowie nie mogliby „poważnie” pracować, gdyby podczas posiedzeń najdowali się w towarzystwie kobiet!

W odpowiedzi na to Miss Rupa ogłosiła w dziennikach list otwarty, w którym zapytuje posłów, czy solidaryzują się z tą wydaną o nich opinią, gdyż jeśli istotnie czują, że w obecności kobiet nie mogą „poważnie” pracować, najlepiej będzie, jeśli zrzekną się swych mandatów i oddadzą je innym, nieco mądrzejszym ludziom! Odpowiedź członków izby oczekiwana jest z wielkim zainteresowaniem. N. J.

SŁUŻĄCA CZŁONKIEM RADY MIEJSKIEJ

W angielskim hrabstwie Lancashire, w mieście Boatile, socjalistyczna partja umieściła na liście swoich kandydatów do Rady Miejskiej dwudziestoparoletnią służącą Lily Thorne. Została ona wybrana na członka Rady Miejskiej większością głosów. Lily Thorne oświadczyła, że przyjmie to nowe stanowisko pod warunkiem że zostanie nadal służącą w domu swych chlebodawców, jak również będzie nadal prowadziła kursy oświatowe dla swych koleżanek. H. S.

NOWE POLE PRACY DLA KOBIEC

Na odbytym niedawno zjeździe weterynarzy w Torquay skonstatowano z niemałym zdziwieniem, że wiele dziewcząt ukończyło wydziały weterynaryjne na uniwersytetach amerykańskich i dziś pracuje z ogromnym powodzeniem po wsiach i małych miasteczkach.

Kobiety-weterynarze zdobyły sobie na wstępie kariery nie tylko uznanie ludności wiejskiej, ale i serca swych niedomagających „pacjentów”, a to dzięki delikatniejszej ręce, cierpliwości iście kobiecej i pieśczośliwemu obejściu, które, podobno, odgrywa niepoślednią rolę. Nie krzyczą na „chorego”, nie klną, nie obchodzą się też wyniośle z właścicielami bydła, jak to się czasem zdarza panom weterynarzom... Leczą bydło rogate, konie, świny, owce — ale nie uchylają się od kurowania kota, królika, rozmaitego ptactwa w klatkach, czy kurnikach, czem znowu zawojowały zupełnie gospodynie wiejskie.

Otworzyło się więc szerokie pole pracy dla działalności kobiet, pracy pożytecznej i przyjemnej. Chodzi tu przecież o ulżenie doli naszym najwierniejszym przyjaciółom, za jakich winniśmy uważać zwierzęta domowe. H. S.

PSYCHOLOGJA MODY 2

Przykładów takich dałoby się przytoczyć wiele. Wszystkie one dowodzą, że jeśli niepodobna odrzucić wpływu warunków ekonomicznych, to jednakże nie można ich uznać za pierwszą i jedyną przyczynę zmian, jakie zachodzą w ubiorach. Wyczuwamy tutaj wyraźnie, że ta twórczość na sobie samym, to stwarzanie z siebie jakiejś nowej i nieoczekiwanej figury, ma przyczyny głębsze, które podlegają, co prawda, działaniom warunków ekonomicznych, ale same, jako takie, są od nich odrębne.

Należałoby tu jeszcze zastanowić się nad teorią hipotezą, której zwalczenie nie zajmie nam jednak wiele czasu. Istnieją i tacy, którzy prapoczątek ubioru wywodzą z przyrodzonego człowiekowi uczucia wstydu. Jest to niewątpliwie szlachetny, niemniej jednak naiwny i nie wytrzymujący krytyki sposób patrzenia. Dowiedli nam wszakże już uczeni, badający życie ludów pierwotnych, że wstyd nie jest bynajmniej wrodzony rodzajowi ludzkiemu, a przeciwnie, jest wynikiem kultury i zjawia się dopiero na wysokich jej szczeblach. A wszakże ubiór, strój, urabianie siebie samego—są rzeczą, spotykaną na wszystkich stopniach rozwoju cywilizacji. Jakże często w historii zarówno kulturalnych, jak niekulturalnych ludów spotykamy formy ubiorów, które charakteryzuje raczej wszystko inne, aniżeli wstydlivość!

A więc należy postawić pytanie zasadnicze: dlaczego ubiera się człowiek? Co jest tym najgłębszym i najbardziej zasadniczym czynnikiem, który mu każe wymyślać coraz to nowe formy dla siebie samego? który mu każe znosić niejednokrotnie dosłowne męczarnie, byle urzeczywistnić na sobie swój ideał piękna?

Nie zapominajmy, bowiem, że ludzkość od niepamiętnych czasów istotnie cierpi w imię mody: cierpi zarówno tatuujący się dziki (tatuowanie jest to naciśnięcie skóry i zapuszczanie rany farbą, tak, że blizna staje się jakby kolorowym wzorem)—jak cierpiała przez lat blisko 400 cywilizowana Europejka w uścisku żelaznego gorsetu, od którego uwolnił ją dopiero nasz okres; jak cierpi chinka, kolebiąca się na swych skrzyconych stopach. Tych cierpień nie wyjaśni, zaiste, ani pojęcie kaprysu, ani teoria zależności od warunków ekonomicznych, ani, wreszcie, bogobojna hipoteza wstydlivości.

Cóż to jest więc, co rządzi modą, nawet niezależnie od fizycznego bólu?

Niewątpliwie władza ta tkwić musi gdzieś głęboko w instynktach ludzkich. Przyjrzyjmy się prymitywnej psychologii pierwotnego człowieka.

W dżunglach afrykańskich, w spiekocie podzwrotnikowego słońca, żyją ludy, którym żadna zewnętrzna potrzeba nie narzuca konieczności zakrywania swego ciała. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką

uczynił ów dzikus czarnowłosa, było to, że na czekoladowej swojej skórze wymalował białe, czerwone, lub niebieskie pasy. Obwiesił się potem pięknie dobranymi kamyczkami, nanizął muszelki, znalezione nad brzegiem morza, a w kołtuniastą swą czuprynę wetknął co najpiękniejsze pióra i liście. Biodra swoje opasał misterną plecionką, i tak wystrojony poszedł pokazać się swoim towarzyszom, — nie mówiąc już o towarzyszkach. W istocie chodziło mu nietylko o towarzyszki. Jeśli bowiem przybraniem swoim zdobył czekoladową płeć piękną, to równocześnie, wybiwszy się ponad współzawodników pięknnością swego stroju, poczuł radosny przypływ dumy. Poczuli się nagle ważnym, wielkim, wzrósł nietylko w oczach drugich: wzrósł przez to samo w swoich oczach własnych. Zwycięstwo jego było podwójne: było to zwycięstwo nad rywalami — zdobycie kobiety — i było to zwycięstwo nad swoim własnym poczuciem słabości. Proces, który się w nim odbywał, wyglądał mniej więcej w ten sposób: oto on, ginący w tłumie, zwyciężany przez silniejszych, cierpiący podświadomie pod przytłaczającą go wielkością innych—ojca, starszego brata i t.d.—wymarzył sobie coś, co go nad tych innych wyniesie. Wyimaginował sobie siebie samego, świetnego, błyszczącego, zwycięskiego! I to marzenie począł urzeczywistniać na sobie samym. Sam stał się przedmiotem swojej twórczości, materialem, modelowanym siłą własnej wyobraźni. I kiedy się tak sam nanowo stworzył i z nowej gliny ulepił, spłynęły na niego magicznie te siły, których pożądał, a których dotąd nie miał. Zwycięstwo jego było oszołamiające. W ślad za nim poszli inni. Wytworzył się pewien typ idealny, powstały jako wypadkowa marzeń indywidualnych, i którego forma stała się sugestywną dla następnych poczynań. Odtąd każdy urabiał się według tego idealnego pierwowzoru, którego istotą było prześcignięcie siebie samego, stworzenie z siebie tego, czem się być chce, a czem się nie jest.

Zapewne nie o wiele inną była psychologia przodków naszych z przed lat kilkudziesięciu tysięcy. Żyli w jaskiniach, odziani byli w skóry, mieli za jedyne narzędzia drewniane pałki, krzemki, lub kości zabitych zwierząt. A jednak znaleźli energię, czas i możliwość, by zdobić się i podnosić wątpliwe piękno swych napół zwierzęcych postaci. I w nich zapewne działał ten sam prainstynkt podniesienia swojej wartości, urobienia się według wymarzonego ideału. Pierwszą formą ich twórczości było zapewne również malowanie się i tatuowanie, którego ślady, oczywiście, zaginęły. W grobach przedhistorycznych spotykamy szkielety, na których zachowały się naszyjniki z kamieni, muszli i kości. Później, kiedy w użycie wszedł metal, bronz—ozdoby te stają się zdumiewające różnorodnością swoich form i misternością wykonania. Agrafy, sprzączki, guzy, naszyjniki, naramienniki—niejednokrotnie przepięknie rzeźbione—świadczą o tem,

że w tych niezmiernie odległych czasach istniał już jakgdyby cały przemysł, którego zadaniem było pokryć ogromne zapotrzebowanie ozdób. Zapewne w parze z różnorodnością tych przedmiotów zbytku szła także różnorodność samego ubioru. Wszakże na kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy lat przed naszą erą skóry zwierzęce zastąpione zostały przez plecionki i tkaniny. Oczywiście w niezmiernie rzadkich tylko wykopaliskach dochowały się ślady tego pierwotnego tkactwa. Ale właśnie z szybkiego stosunkowo rozwoju ozdób metalowych wnosić można, że ubiory nie pozostawały w tyle. I one musiały się zmieniać, musiały spełniać zadanie nietylko chronienia przed zimnem—musiały podlegać prawom elegancji i mody. Cóż z tego, że pojęcie tej elegancji i mody, jak wogóle ówczesne pojęcie piękna, było tak bardzo różne od naszego? To, co dokonywało się wówczas i czego ślady tkwią dzisiaj głęboko pod tysiącletnimi warstwami ziemi, było w zasadzie tem samym, co dzieje się dzisiaj.

Spójrzmy, bowiem, w istotne oblicze dzisiejszej mody. Czyż de facto nie chodzi i teraz o to tylko, by zrobić się według pewnego przyjętego ideału? Jak możnaby, bowiem, inaczej wyjaśnić zdumiewający fakt, jaki dokonał się na naszych oczach w ostatnich latach? Czyż i dzisiaj nie postawiono przed nami ideału chłopczycy, na której podobieństwo urobiły się ze zdumiewającą szybkością miljonowe rzesze kobiet Europy? I tutaj zaszło to samo, co w duszy pierwotnego człowieka. Dokonała się twórczość na własnym ciele: wymodelowanie swojej własnej osoby według idealnego pierwowzoru, przedstawionego nam przez modę.

Zachodzi tylko pytanie: kto jest w tym wypadku twórcą? gdzie tkwi spiritus movens mody?

Patrząc na człowieka pierwotnego, widzieliśmy, jak tworzył siebie samego, urabiał się sam, według marzenia. To samo czyni i mężczyzna dzisiejszy. Ale wszakże w tem urzeczywistnieniu marzenia istnieje rozdział drugi, napewno niemniej ważny od pierwszego. W marzeniu mężczyzny — wszystko jedno, czy cywilizowanego, czy pierwotnego — istnieje kobieta. Zaprowadziłoby nas za daleko, gdybyśmy zastanawiać się chcieli nad tem, jakie czynniki urabiają idealną postać kobiety w tęsknocie mężczyzny. Ale faktem jest, że ten ideał istnieje — wiemy o tem wszyscy. I tylko zdumiewajacem może się wydawać, że ów typ wymarzony nie jest jedynie indywidualną własnością każdego poszczególnego mężczyzny. Że między temi, głęboko w każdej duszy ukrytymi, ideałami istnieje pewne pokrewieństwo, że noszą one pewne wspólne znamię czasu.

(c. d. n.)

Dr. Stefania Zahorska.



COŚNIECOŚ O NARCIARSTWIE

ZJAZD, HAMOWANIE, ZMIANA KIERUNKU I DREPTANIE, ŁUK, PRZESKOK

Rysunki według podręcznika narciarskiego inż. A. Bobkowskiego.

III

Teraz możemy zacząć omawianie najmilszej części narciarstwa, którą jest zjazd.

Jeśli spadek nie jest zbyt gwałtowny, stajemy na górze, w pozycji zasadniczej, którą już dobrze znamy, opierając się na kijkach, suwaniem sprawdzamy, czy śnieg nie przylepił się do desek, i posunięciem jednej nogi wstecz, a następnie naprzód—ruszamy z miejsca, odpychając się kijkami. Pozycja przy zjeździe bywa różna, zależnie od spadku i rodzaju śniegu. Na małej pochyłości jedną nartę lekko wysuwamy ku przodowi tak, aby nosek jednego buta był przy pięcie drugiego; kolana lekko uginamy, tułów podajemy nieco wprzód; ręce zwisają swobodnie, unosząc lekko kijki, aby nie ciągnęły się po śniegu. Noga wysunięta jest odciążona, jakgdyby bada nierówności terenu i lepkość śniegu. Ciężar ciała spoczywa przeważnie, choć niezupełnie, na nodze tylnej.

Przy większych spadkach używamy pozycji pół kucznej: narty prawie zrównane, nogi ugięte w kostkach i stawach kolanowych, tułów od bioder pochylony wprzód.

Przy jeszcze większym spadku, lub gdy chodzi o zwiększenie szybkości, zjeżdżamy w pozycji kucznej—a więc kolana uginamy silniej i silniej podajemy tułów wprzód, przez co znacznie zmniejszamy opór powietrza. Jeśli stok jest za stromy do zjazdu wprost, zjeżdżamy zakosami; wówczas obciążoną jest narta dolna, górna—wysunięta wprzód i odciążona—bada teren. Obie narty zacinają górnymi krawędziami. Zwyczajnie staramy się jeździć wąsko, trzymając narty tak blisko jedna drugiej, aby zostawał jeden ślad.

Jest to konieczne, nietylko ze względów estetycznych, ale też dla pewniejszego kierowania nartami. Zresztą trzeba spróbować samemu, aby przekonać się, że i przyjemniej i pewniej jeździ się wąskotorowo. Szeroko jeździmy jedynie na śniegu twardym i przy jeździe zakosami. Zakosami zjeżdżać możemy również w pozycji wypadnej, którą nazywamy telemar-



Pozycja kuczna



Krok ślizgowy

kową, gdy nosek narty dolnej jest przy wiązaniu górnej narty, która jest wówczas całkowicie odciążona.

Jeśli spadek jest nieznaczny i śnieg mało śliski, używamy dla nabrania rozpędu kroku ślizgowego. Zupełnie, jak na lodzie, odbijamy się w bok krawędzią wewnętrzną, raz jednej, raz drugiej narty.

Zjazd wprost jest bezsprzecznie najmilszą ewolucją,—im prędzej, tem milej. Czasem jednak nabieramy zbyt wielkiego pędu, co nie pozwala w dostatecznej mierze panować nad nartami i w nieznanym terenie może być czasem niebezpieczne. Trudna rada! musimy się nauczyć zmniejszania pędu, a więc hamowania, ale nie przez ciągnięcie kijków po śniegu, a przez umiejętne rozstawienie nart.

Przy zjeździe wprost hamujemy tak zwanem płużeniem. Polega ono na rozsunięciu tyłów nart, przy jednoczesnym zbliżeniu dziobów i silnem zacinaniu krawędziami wewnętrznymi. Musimy bacznie uważać, aby dzioby się nie skrzyżowały, gdyż powoduje to upadek, i to na twarz, co się może smutnie skończyć. Im silniej rozsuwamy tyły i im silniej zacinamy krawędziami, tembardziej zmniejszamy pęd. Przy ewolucji tej kolana są nieco ugięte, tułów podany ku przodowi. Możemy również płużyć jedną nogą, wówczas ciężar ciała przenosimy na nartę, wskazującą kierunek jazdy, a więc np. lewą; odciążoną nartę prawą wysuwamy nieco ku przodowi i zacinamy jej wewnętrzną krawędzią, odstawiając tył możliwie daleko w bok i trzymając dzioby razem. Chcąc zmniejszyć pęd przy jeździe zakosem, przenosimy ciężar ciała na nartę górną, a dolną wysuwamy wprzód, odstawiamy tył i, napierając na piętke, hamujemy płużeniem. Często tarcia samej deski nie wystarczą, szczególnie, jeśli krawędzie są starte, więc przy hamowaniu musimy się uciec do pomocy kijków. Składamy wtedy oba kijki razem, jedną ręką nachwytem łapiemy je powyżej talerzyków, drugą — podchwytem — nieco bardziej ku górze i, opierając się, często ciężarem całego ciała, zwiększamy tarcie i hamujemy, trzymając kijki od strony stoku. Tylko taka pozycja kijków daje nale-

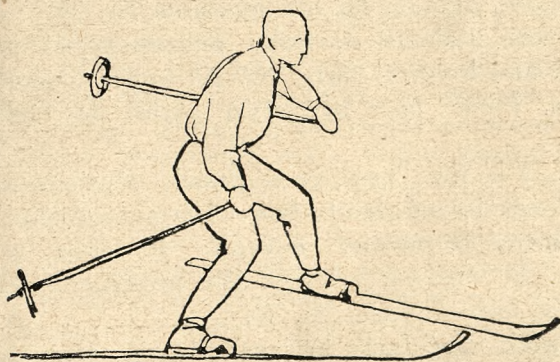
żyte tarcie i zmniejsza pęd: wleczenie kijków z tyłu jest męczące i żadnego rezultatu nie daje.

Jeśli zjeżdżamy drogą leśną, po zlodowaciałym śniegu, musimy hamować możliwie silnie, i płużenie nie wystarcza. Rozstawiamy wówczas narty, kijki, złożone razem, przekładamy między nogami; prawą ręką chwytny je 10 cm. ponad talerzykami nachwytem, tuż pod prawem udem, lewą ręką — podchwytem — nad lewym udem, opierając ramię o udo. Robi to wrażenie, jakgdyby się siedziało na kijkach, nie jest estetyczne i dość męczące, używamy więc tej jazdy w ostateczności na nieznanym, a zakrytym terenie. Kąt nachylenia kijków nie powinien być zbyt ostry, gdyż uzyskujemy wówczas za małe tarcie.

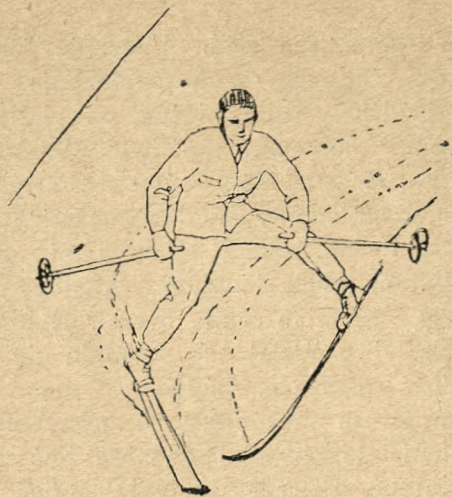
Teraz, kiedy posiadliśmy sztukę zmniejszania pędu, pozostaje nam tylko nauczyć się zmiany kierunku w czasie jazdy, oraz zatrzymywania się,—a żadne tajniki sztuki narciarskiej nie będą nam obce.

Zmienić kierunek w czasie jazdy możemy przez dreptanie, łukiem, lub przeskokiem. Dreptanie stosujemy przy śniegu miękkim, który nie pozwala na żadne inne ewolucje. Wykonujemy szereg krótkich i szybkich kroków, wrywając za każdym z nich nartę ze śniegu i stawiając tak, aby się zbliżyć do pożądanego kierunku. Zaczynamy, oczywiście, nartą wewnętrzną.

Na śniegu ciężkim i załamującym się, efektywnym jest przeskok, bardzo korzystny przy zjeździe zakosami, gdyż jest jednocześnie zeskokiem na niższy poziom. Chcąc wykonać przeskok, przyjmujemy pozycję półkuczną, lub kuczną przy nartach zupełnie do siebie zbliżonych; wbijamy dolny kijek tuż przy dziobach nart i, opierając się na nim, obskakujemy go. Tuż przed przeskokiem hamujemy pęd, a nawet zatrzymujemy się prawie zupełnie. Najczęściej jednak stosowanym sposobem zmiany kierunku jest łuk. Zaczynamy tę ewolucję od płużenia nogą przeciwną, niż chcemy zmienić kierunek, a więc chcąc skrócić wlewo, płużymy nogą prawą; po pewnym czasie przenosimy na nią ciężar ciała, dostawiamy drugą nogę i jedziemy w kierunku, jak wskazywał dziób narty płużącej. Dostawienie musi być wykonane łagodnem przesunięciem narty po śniegu.



Opór przed łukiem



Łuką oporem na stromem zboczu

Powtarzając opisaną przed chwilą czynność na zmianę—raz w jedną, raz w drugą stronę,—zjeżdżamy wdół pięknymi łukami.

Jeśli spadek, po którym chcemy jechać, jest znaczny, pomagamy sobie złożonymi kijkami, trzymając je zawsze od strony zbocza, a więc przerzucając raz na prawo, raz nalewo. (d.c.n.) L. R.

O MALOWANIU FARBAMI DO PRANIA I O LIWORYZACJI

Bardzo wiele czytelniczek zwraca się do nas listownie z zapytaniem, jak malować farbami do prania i na czym polega liworyzacja.

Pragnąc dać na te pytania dokładną odpowiedź, zwróciliśmy się do prof. Ant. Buszka, którego farby są ogólnie używane do tych robót. z prośbą o dokładne wyjaśnienie, i zamieszczamy je poniżej Red.

Farb do malowania na materiałach jest kilka gatunków, a ponieważ nie wiem, którymi specjalnie interesują się czytelniczki „Bluszczu“, postaram się opisać wszystkie rodzaje, a więc: farby przezroczyste do jasnych tkanin, farby kryjące, oraz bronzы do jasnych i ciemnych tkanin.

1. Farby przezroczyste można łączyć dowolnie ze sobą, w celu otrzymania różnych odcieni. Ażeby otrzymać jaśniejsze tony, należy je rozcieńczyć płynem do rozcieńczania Nr. 25.

Przez dodanie do farby przezroczystej pewnej ilości białej kryjącej farby Nr. 20, otrzymujemy farbę kryjącą, która może być użyta nawet do ciemnych tkanin.

2. Farby kryjące przed użyciem należy dobrze wymieszać pędzelkiem lub patyczkiem.

Można je również mieszać ze sobą w celu otrzymania różnych odcieni. Dla rozjaśnienia dodaje się białą farbę kryjącą Nr. 20.

Chcąc mieć farbę kryjącą rzadszą, należy ją rozcieńczyć płynem do rozcieńczania farb kryjących Nr. 23.

3. Bronzy w proszku. Płyn do bronzów Nr. 21 używa się w sposób następujący: bezpośrednio przed użyciem odlać małą ilość płynu do innej buteleczki i zmieszać z odpowiednią ilością bronzу w proszku, który jest dołączony w torebce do każdego flakonу płynu. Należy unikać rozrabiania na zapas, gdyż płyn, zmieszany z bronzem, na drugi dzień gęstnieje i ulega zepsuciu. Malować więc należy zaraz po zmieszaniu. Wyżej wymienione farby nie rozlewają się na tkaninach i nie wypierają się. Malować należy pędzelkami akwarelowymi wprost z flakonów, bez żadnego uprzedniego przygotowania tkaniny.

Chcąc otrzymać połączenie kolorów, lub jaśniejsze odcienie, należy mieszać farby i rozcieńczać w osobnych suchych i czystych buteleczkach, które po malowaniu szczelnie korkować. Rozrabianie farb na miseczkach, w kieliszkach i t. d. jest bezwzględnie nie wskazane, gdyż części niezbędne ulatniają się, farba gęstnieje i odpryskuje.

Pędzelki po farbach myje się płynem do mycia pędzli (Nr. 24 do farb przezroczystych, albo Nr. 22 do farb kryjących) w sposób następujący: odlewa się małą ilość płynu do małej buteleczki i w tej ilości myje się pędzle, a następnie wyciera się gałgankiem. Płyn może służyć tak długo, aż zupełnie zgęstnieje; wtedy należy go zastąpić świeżym.

A teraz przejdźmy do liworyzacji. Chcąc otrzymać deseń kolorowy wypukły, należy użyć podkładu do wypukłego malowania „Livor“. Sposób użycia jest następujący: livor nakładamy z tuby do tutki ze śpiczastym końcem, dobrze skleionej z papieru pergaminowego. Koniec przed napełnieniem obcinamy nożyczkami, przez co formuje się potrzebny otwór. Po wyciśnięciu niewielkiej ilości livoru z tuby do tutki, zawijamy jej szerszy otwór, następnie wciskamy livor do końca zapomocą ołówka, pędzla lub tym podobnego waleczka drewnianego, aż do momentu, kiedy livor zacznie wychodzić przez otwór, zrobiony w tutce nożyczkami. Wtedy zawijamy tutkę kilkakrotnie w jej szerszym końcu i, naciskając zapomocą dużego palca—prowadzimy po materji. Zależnie od odcięcia tutki, otrzymujemy grubszy lub cieńszy waleczek przy wyciskaniu. Po zrobieniu deseniу livorem pokrywamy go bronzem, zapomocą suchego pędzla, umaczanego w bronzie, którym smarujemy po livorze. Zapomocą specjalnego pędzla usuwamy nadmiar bronzу.

Wszelkie przesyпки, jak: dzety, brokat, puszeki sukienne i koraliki—sypie się wprost na livor mokry, następnie miękim pędzlem zmiata się na papier, z którego zsypuje się z powrotem do torebki.

Wszelkie płaszczyzny, jak: liście, kwiaty i tym podobne, otrzymuje się przez rozsmarowanie livoru na tkaninie zapomocą płaskiego pędzla szczecinowego. Pokrywanie bronzem i przesypkami skutecznia się, jak wyżej. Pędzle po livorze myje się w terpentynie lub benzynie.

Antoni Buszek.

GASTRONOMJA PO PRZEZ WIEKI

Ludzie pierwotni używali, jako pokarmu owoców różnych traw i korzonków; z biegiem czasu odważyli się spróbować smaku pewnych owadów i muszli, następnie mięsa, które spożywali na surowo, a gdy ogień został uświęcony i zmonopolizowany przez kapłanów, oni pierwsi zaczęli używać, w postaci gotowanej i smażonej mięsiwa przynoszone w ofierze. Kapłani, więc, byli pierwszymi kucharzami i gastronomami.

Sztuka kulinarna, jak i inne sztuki, miała swój okres rozwoju i upadku. Jest wyrafinowaną i skomplikowaną u ludów ze starą cywilizacją — prostą i monotonna — u szczepów dzikich. Materiał gastronomiczny ulegał długiej ewolucji. Pierwszemi zwierzętami domowymi były psy, kozy, wieprze i kury. Za czasów Faraonów czwartej dynastji, 3 tysiące lat przed Chrystusem, w Egipcie, t. j. w kolebce cywilizacji, uprawiano pszenicę, żyto, proso i winogrona, wyrabiając chleb, wino, miód i piwo. Egipcjanie nie gardzili też grochem i fasolą. Z owoców przeważnie używali fig, daktyli, migdałów i t. d. Przepadali też za cebulą, którą spożywali niemal z religijnem namaszczeniem. Hodowano również specjalny gatunek trufli ogromnych rozmiarów, ważących do 35 kilo, który obecnie zaginął.

Hebrajczycy, początkowo bardzo umiarkowani w jedzeniu, żywili się przeważnie zbożem, soczewicą i różnemi roślinami strączkowemi. Po powrocie z Egiptu jedli to, co znajdowali w swym kraju, a masło znali na 20 wieków przed Chrystusem. Podczas 40 letniego koczowania w pustyni z konieczności musieli się wyrzec wielu rzeczy, najdotkliwszym jednak był dla nich brak cebuli.

Hindusi, zamieszkujący ojczyznę ryżu, mieli sztukę kulinarną bardzo wysoko postawioną już od czasów starożytnych. Świadczy o tem „Ramayana“, epopeja hinduska, opiewająca sławę Ramy.

Persowie, będący pochodzenia aryjskiego, również jak Hindusi, nie byli synami kraju rolniczego. W 9-yim wieku przed Chrystusem żywili się persowie przeważnie jarzynami i owocami, wyrabiali też oliwę i wino. Z mięsa najczęściej spożywali sarniny, wołowiny, wieprzowiny i mięsa żółwia morskiego.

Grecy za czasów Homera żywili się strączkami ryżu, jarzynami i owocami miejscowemi. Klasa zamożna, spożywała prócz tego mięsiwa, smażone w tłuszczu, które popijano aromatycznym winem. Komplikując się równolegle z cywilizacją, gastronomia osiągnęła niedługo maksimum rozwoju. Likurg jednak wydał przepisy, ograniczające spożywanie pewnych potraw i dążące do atrofji uczucia smaku. Kazał spartańczykom spożywać potrawę z czarnego mięsa, octu i aromatycznych ziół, która wzbudzała

wstręt. Likurg chciał w ten sposób ratować swój naród od gnuśności, chciał, by spartanie byli narodem żołnierzy i bojowników. W wieku Peryklesa zaczęły wchodzić w użycie różne zupy, sosy, wyszukane potrawy z wątroby, ryby, przeróżne słodkie leguminy na miodzie, ciastka obsypane solą i t. d. Jako napoju, używaną powszechnie mleka, win swojskich i zagranicznych, z których najbardziej ceniono korynckie alcantos i wina z wysp Jońskich. Sprowadzano też napoje z Syrakuz, Falerna, Fenicji i Egiptu. Śniadania i kolacje były bardzo skromne, zato obiady podawano niezwykle obfite. Podczas biesiady niewolnicy roznosili kwiaty i wonności. Uczujący zabawiali się przedstawieniami mimicznymi, śpiewami, deklamacją wierszy i t. d. Były to przeważnie uczy duchowe, gdyż sporządzenie potraw pozostawiało dużo do życzenia.

(d. c. n.)

S. S.



ANTRYKOTY (ENTRE-COTES).

Są to odbijane kotlety wołowe z żeberkami, wyborne w smaku, u nas stosunkowo rzadko używane, gdyż robią się z przedniej części wołu, uważanej przez żydów za „koszer“ i mało kiedy sprzedawanej w chrześcijańskich jatkach. Z niedużych sztuk kraje się antrykoty z żeberkami, licząc po jednym na osobę, — znacznie lepsze są jednak ze sztuk dużych, i taki kotlet o jednej kostce starczy na dwie, a nawet na trzy osoby. Po usunięciu żył, niepotrzebny h skórek, i po odrąbaniu kości grzbietowej, wybija się antrykot mocno, skrapia oliwą, sokiem cytrynowym, pokrywa plasterkami cebuli i trzyma tak godzin parę przed smażeniem, często z jednej strony na drugą przewracając. Dalej postępować trzeba zupełnie, jak z dobrym befsztykiem, czyli rozpalić na patelni do silnego zrumienienia niedużą ilość frytury, antrykot posolić i lekko popieprzyć z jednej strony, zrumienić mocno, posolić i popieprzyć stronę drugą, zrumienić również mocno; odsunąć na bok blachy i jeszcze smażyć minut parę, dłużej lub krócej, zależnie od tego, czy wolimy mięso bardziej, lub mniej dosmażone. Tak można podawać jednak tylko mięso z bardzo młodego i dobrze utuczonego wołu. Kiedy chodzi o antrykot ze sztuki starej lub chudej, lepiej, po zrumienieniu, przełożyć go wraz z tłuszczem do płaskiego rondla, nakrajać obficie cebuli, włoszczyzny, dodać świeżych lub suszonych grzybków, czy pieczarek i dusić na wolnym ogniu, aż zmięknie. Smażony — podaje się z masłem, którego kawałek podkładamy już pod gotowy antrykot i rumienimy lekko; duszony — dajemy z sosem z jarzyn, który się uformuje przy duszeniu.

Na pierwszy lub drugi można położyć plasterki cytryny, kawałek masła „à la maître d'hôtel”. (zmieszanego z zieloną pietruszką i cytrynowym sokiem, lub sardelowego). Za garnitur mogą służyć wszelkiego rodzaju, smażone na surowo, lub wprawdzie ugotowane kartofle, makaron włoski, groszek, fasolka zielona lub biała, brukselka itp. Do smażonych antrykotów można też podać oddzielnie mocny sos kaparowy, lub czysty pomidorowy.

KOTLETY BARANIE „SOUBISE“.

Na te kotlety należy brać mięso z młodego, dużego i dobrze ukarmionego barana. Odrąbać z kotletówki kość grzbietową, odbić nieco mięso od żeberka, jak to się robi z odbijaniami kotletami cielęcymi, pokrajać według kostek, zbić lekko, tylko tyle, aby nadać kotlecikowi jednakowy, zgrabny kształt. Dać tak poleżeć godzin parę. Można też je skropić oliwą i sokiem cytrynowym, przełożyć paru listkami laurowymi, gałązkami pietruszki, ziarnkami pieprzu i tak pomarynować godzin kilka. Przed samym podaniem osolic, odrobinę popieprzyć, obsypać mąką i usmażyć na rumiano, nie przesmażając nadto, uważając jednak, aby w środku były dosmażone. Na dziesięć kotlecików wziąć pół kilo cebuli, cukrówki lub hiszpańskiej, pokrajać w grube plastry i udusić w maśle na wolnym bardzo ogniu, aby się wcale nie zrumieniła, — w tym celu dusić pod pokrywą. Przepuścić przez maszynkę, zaprawić łyżką mąki pszennej, rozprowadzić przegotowanym mlekiem lub śmietanką. Sos powinien być gęsty, jak purée. Do gotowego włożyć łyżeczkę śmietankowego masła, posolić do smaku, ułożyć na środek półmiska i obłożyć kotletami. Jak wszystkie potrawy z baraniny, kotlety „soubise” należy podawać bardzo gorące.

POTRAWKA Z ŻEBEREK WIEPRZOWYCH.

Na żeberkach wieprzowych wyborny jest krupnik i kapuśniak; ponieważ jednak te zupy są same przez się bardzo pożywne, mięso można z nich wyjąć i przyrządzić z niego oddzielną potrawę. Na sześćdziesiąt deka żeberka (na 3 — 4 osoby, zależnie od większego lub mniejszego ich apetytu) obrać trzy średnie kwaszone ogórki, pokrajać w talarki, włożyć w rondelki wraz z pokrajanymi w zgrabne kawałki żeberkami, podać kilku łyżkami pozłoty z rosółu — tyle tylko, aby objęło. Dusić wolno, aż ogórki się ugotują, zasypać sporą łyżką mąki, wsypać zielonego koperku lub pietruszczki, dodać parę łyżek śmietany, zagotować raz tylko i wydać z ugotowanym na sypko ryżem, lub też z kartofelkami z wody.

LEGUMINA CZEKOLADOWA NA KAWIE.

Ugotować mocnej aromatycznej kawy bez cykorji. Szklanek takiej kawy zagotować z pół szklanką masła, wsypać szklanek mąki pszennej, ubijać łyżką na ogniu, aż od rondla odstanie. Tabliczkę waniljowej czekolady (10 deka) utrzeć na tarce, dodać do gorącego ciasta, ucierać, aż się masa stanie jednolita. Trzydzieści deka cukru utrzeć do białości z 4 — 5 żółtkami, dodać do ostudzonej masy, wyrobić jeszcze razem doskonale. Formę dużą, ogniotrwałą, lub me-

talowy półmisek wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać ostrożnie z czekoladową masą, ułożyć to wszystko w ładną kopułę i upiec w niezbyt gorącym piecu. Podać w tem samem naczyniu natychmiast po wyjęciu z pieca, gdyż jak każde ciasto parzone, opada, stojąc dłużej. Do tego podaje się zimne mleko, lub śmietankę. Porcji tej starczy na 6 osób.

ROSYJSKA „PASTILA“ Z JABŁEK

Jabłka kwaskowe, winkowate, lub najlepiej antonówki piec w dużych garnkach, stawiając je na noc w piec po chlebie. Przesasować je przez sito. Zmierzyć dokładnie tę masę, przełożyć do dużego naczynia i ubijać trzepaczką do kremu, aż zbieleje i znacznie narosnie. Odmierzyć ćwierć tej ilości miodu, utrzeć go oddzielnie na misce do białości, połączyć, obie masy i wybijać je jeszcze bardzo długo, aż staną się tak gęste, że pod palcem się nie uginają i są prawie białe. Z pergaminu porobić foremki dowolnej wielkości, (zwykle robi się je spore, podłużne, długoci będących w sprzedaży keksów, wysokie na trzy palce). Nakładać masę w foremki, stawiać je na blachach, posypanych żytnią mąką, lub otrębami, i piec w bardzo wolnym piecu. Trzymać w piecu zupełnie letnim po upieczeniu jeszcze 4—5 godzin, aby zupełnie uschły. Przechowywać w słojach, lub blaszanych pudłach w suchej spiżarni. Zamiast miodu można użyć cukru, biorąc na trzy szklanki masy jabłecznej jedną szklanek drobnego kryształu.

GALARETA POMARAŃCZOWA

Dwie szklanki drobnego, oraz kilka kawałków cukru, któremi otrzeć skórkę z trzech średniej wielkości pomarańcz. Najlepiej brać pomarańcze malinowe, gdyż dają ładniejszy kolor galarecie. Pomarańcze otrzeć, dwie z nich pokrajać w plasterki, z trzeciej wycisnąć sok; dodać sok, wyciśnięty z dwóch dużych cytryn, dobrą wodę, aby było cztery szklanki płynu, który zagotować raz z cukrem białym i tylko rozpuścić w nim cukier, otarty o skórki. Dziesięć listków żelatyny białej i dwadzieścia czerwonej rozpuścić w szklance gorącej wody, (wprawdzie ją rozmoczyć w zimnej), dolać do syropu pomarańczowego. Gdyby płyn nie był dosyć klarowny, rozbić białko z paru łyżkami wody, zmieszać z letnim płynem, zagotować i przycisnąć przez serwetkę. Wlać do formy trzecią część płynu, zastudzić na lodzie lub śniegu, ułożyć połowę plasterków pomarańczy, zalać trzecią część już stygnącej galarety; gdy i ta zupełnie stężeje, położyć resztę pomarańczy i zalać pozostałą galaretą. Postawić na chłodzie przynajmniej na sześć godzin przed podaniem. Gdy jest ciepło, na wiosnę naprzykład, zamiast 10 należy brać 15 listków żelatyny, lub też studzić galaretę w kryształowej salaterce, a nie w formie.

NA KARNAWAŁ
LIWOR SZYBKO SCHNĄCY, OBSYPKI DO LIWOR-
ZOWANIA, FARBY DO TKANIN, BATIKI, WZORY DO
LIWORYZOWANIA

Poleca w wielkim wyborze

JULJAN BUROF

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 47. TEL. 36-44.

Wysyłka towaru za zaliczeniem.
Cenniki i instrukcje gratis na żądanie.

MUS Z SUSZONYCH MORELI.

Dziesięć deka suszonych moreli namoczyć na noc w zimnej wodzie. Następnego rana dodać dwadzieścia deka cukru i dusić morele, aż się zupełnie rozgotują, przetrzeć marmeladę przez sito i dać jej ostygnąć. Pięć białek ubić na sztywną pianę, zmieszać z morelową masą i ucierać drewnianą łyżką, wciąż wierząc w jedną stronę, aż masa zbieleje i zgęstnieje, jak krem. Wcisnąć sok z pół cytryny i jeszcze razem ucierać. Na koniec ułożyć na półmisku w ładną piramidę, obłożyć biszkopczkami lub makaronikami i podać z mlekiem lub śmietanką.

Pani Elżbieta.

U S. MAGNQUÉ

Wspaniałe witryny S. Magnqué (Nowy Świat 27) ściągają pożądliwe spojrzenia przechodzących pań. Piękność i bogactwo wystawionych kapeluszy jednocześnie wabi i oniesmiela.

Te, które się odważą przestąpić wrota Sezamu, czekają wspaniałe widoki i pokusy nie do odparcia. Firma Magnqué, znana ze swych pięknych kapeluszy, prowadzi i dział sukien, co pozwala na tworzenie sukien i kapeluszy, komponowanych jednocześnie, z myślą stworzenia harmonijnej całości. W wykwintnie urządzonym salonie defilują zgrabne modelki; uprzejma właścicielka firmy demonstruje modele paryskie i własne kreacje — niewiadomo, które piękniejsze. Co bardziej podziwiać? Czy krynolinę z czarnego tiulu i złotej lamy, z którą tak wspaniale wygląda diadem ze złota i strassów, uwieńczony sutą koroną z riuszek z czarnego tiulu? Czy ten hełm z metalizujących paillet, przebogaty, a lekki, jak piórko, do którego dobrana suknia mieni się tęczowemi łuskami, jak pancerz Joanny d'Arc? Turban z białych piór, wymarzony do białego lisa, lub gronostajowej etoli, czy wieczorowy kapelusz z muslinowych skrzydełek, który przypomina przepaskę bożka Merkurego.

Ale dość tych balowych wspaniałości!

Oto kapelusz z czarnego aksamitu — stylizacja kapelusza chińskiego mandaryna. Klamra ze strassów. Nosi się do sukni bleu-chinois, misternie skloszowanej. Na ramieniu kwiat z jedwabiu bleu-chinois z wnętrzem z brylantowej liworyzacji. Trudno o całość wytworniejszą, bardziej wyrafinowanie skromną.

A oto inny popołudniowy ensemble: kapelusz i kamizelka bolero z cytrynowej duwetine'y, haftowane złotem i zdobne aplikacją z dwukolorowego zamszu. Suknia z brunatnego jedwabiu. A jeszcze robe-eharpe z czarnego muszlinu, a jeszcze... Nie, nie! któżby to wszystko opisać był w stanie.

Jak symbole pokusy, czyhają złote i stalowe węże. Opasują kibić i szyję, oplatają ramiona, nawet na kapeluszu nosi się węże... a tak ładnych węży, jak u S. Magnqué, nigdzie nie można znaleźć. A obok widzimy jedwabną bieliznę, zdobną ręcznym haftem i kremowemi koronkami, tak wykwintną, jak wszystko co u S. Magnqué znaleźć można.

Well.

DOBRE RADY

Pranie crêpe de chin'u, o ile materja jest w bardzo dobrym gatunku, z łatwością da się wykonać w domu, nawet kilka razy. W rozgotowanym gęstem marsylskim mydle, zupełnie ostudzonym, prędko wyprać materję, nie trąc, a wyciskając; następnie wypłókać w dobrze osolonej wodzie i zawinąć w płócienne prześcieradło. Gdy dobrze przewiednie, prasować żelazkiem nie za gorącym. Jeżeli materja jest w lichym gatunku, najlepiej oddać do pralni chemicznej, żeby nie zmieniła barwy, prana domowym sposobem,

* * *

Naprawiać bieliznę trzeba, o ile można, przed prasowaniem. Jest to zajęcie trudniejsze, niż uszycie z nowego — wymaga dużo starania, umiejętności uwagi. Trzeba umocować guziczki, poreperować dziurki u koszul, wycerować miejsca osłabione. Dokładna reperacja jest doniosłym czynnikiem w oszczędności domowej. Jest to zajęcie skromne, na pozór drugorzędne, ale tak ważne, że bezwzględnie poważne miejsce zajmować powinno w wykształceniu praktycznym kobiety.

KORESPONDENCJE

Pani F. D. Małe-Miasto. W poważniejszych zakupach, które nie ulegają kaprysom mody, oszczędność nie jest wskazana, solidny bowiem przedmiot chociaż narazie droższy, w użyciu tańszym się okaże, nie potrzebując częstej reperacji i służąc długie lata. Zatem, niech Sz. Pani kupi kocioł z czystej cynkowej blachy, a posłuży długie lata i bielizny rdzawić nie będzie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani J. M. Płyn do przywrócenia siwiejącym włosom ich pierwotnego koloru może być wysłany, lecz należy przedtem na wyczeskach spróbować, gdyż nigdy nie można być pewnym, czy się uzyska pożądany kolor. Sposób użycia podany przy opakowaniu.

Łojotok. Ogólna odpowiedź: Poznaniance, Irena — Lwów. Pomagałkiej w Krakowie, P. M.

Łojotok jest najczęstszą dolegliwością skóry. Rozróżniamy łojotok silniejszego stopnia i słabszego. Przy łojotoku silniejszego stopnia występują wągry i krosty, przy łojotoku słabszego stopnia — rozszerzone pory, zatłuszczenia skóry i wągry. Stosownie do tego polecam na łojotok silniejszego stopnia galaretkę Nr. 1, na łojotok słabszego stopnia galaretkę Nr. 2. O łojotoku obszerniejsze wskazówki podane są w książce „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“.

Przy skórze szarej zastosować należy kąpiele przemienne 3 razy w tygodniu, perełkami różanemi, (łyżeczka od kawy perełek różanych na 1/2 litra gorącej wody). Okłady takie należy uskutecznić od 5 gorących i zimnych do 10. Zależy to od jakości skóry. Na skórę ciekłą i delikatną, wystarczy 5, na skórę grubą, starą i niewrażliwą — 10. Jest to sposób angielski, odmładzający i odświeżający, oraz bardzo dobrze wygadza zmarszczki i przeciwdziała tworzeniu się ich.

Dr. med. J. ŚWITALSKA ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ GODZIENNIE OD 5 DO 7. KRUCZA 31, M. 3.

Osoby bardzo młode powinny stosować parówki 3 razy w tygodniu po 10 minut, oraz masaż pudrem. Masaż należy skutecznie umiejętnie, albo wcale.

Mieczysławie. Sport jest dobry i pożyteczny dla każdego zdrowego organizmu. Należy koniecznie upewnić się przedtem, co do swego stanu zdrowia u lekarza chorób wewnętrznych.

Jakie sporty należy uprawiać, nie można zgóry przesądzić: zależy to od sił fizycznych, warunków życiowych i zamiłowań. Zimą—ślizgawka, saneczki; latem—gry ruchome, tenis, piłka, konna jazda i t. d. Przez cały rok—spacer i gimnastyka. Gimnastyka, odpowiednio, nieforsownie prowadzona, daje doskonałe wyniki dla zdrowia i estetycznego wyglądu.

Samodzielnej. Na liczne zapytania o szkołę masażu zawiadamiamy, że szkoła prywatna masażu leczniczego znajduje się w Warszawie, posiada statut i program, zatwierdzony przez Min. Spraw Wewnętrznych, — ul. Smolna 30, tel. 119-04.

1) Celem szkoły jest teoretyczne i praktyczne kształcenie masażyстів (ek).

2) Szkoła jest własnością dr. Zaorskiego i znajduje się pod nadzorem władz państwowych.

3) Na czele stoi dyrektor dr. Jan Zaorski. Wykładowcami są sami lekarze.

4) Do szkoły mogą być przyjmowane osoby pł i obojga, które ukończyły conajmniej 4 kl. szkoły średniej, szkołę felfcerską, lub akuszeryjną, w wieku od 19 — 40 lat.

5) Program nauki obejmuje: anatomję, fizjologję, oraz mięsienie, w zastosowaniu do różnych chorób.

Kurs trwa 4 miesiące. Cena 100 zł. miesięcznie. Kurs rozpoczyna się dwa razy do roku: we wrześniu i w styczniu. Po ukończeniu dostaje się dyplom masażysty (ki), uprawniający do skutecznego masażu leczniczego na terenie Państwa Polskiego.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

| | |
|--|----------|
| palto, lub suknia fantazyjna | zł. 3.50 |
| suknia zwyczajna | „ 2.50 |
| bluzka | „ 2.00 |
| formy dzieciinne | „ 2.00 |
| bielizna | „ 1.50 |

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

Ważne dla P.P. Gospodyń

Do części nakładu dzisiejszego wydania pisma naszego dołączamy barwny prospekt Lubońskiej Fabryki Drożdży w Luboniu pod Poznaniem p. t. „Ważne dla P.P. Gospodyń“.

W Prospekcie swym poleca firma znane od lat znakomite wyroby pod nazwą „Luba“. Prospekt polecamy uwadze Szanownych naszych Czytelniczek.

„Pieczywo domowe“

UCZY, JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.